Numer 10. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 10 Marca 1929



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Prosimy o wyraźne pisanie adresów i poczty.

Gapa.

— Jakże się pani podobały Włochy?

— Cudowne! przejechaliśmy całe, byliśmy w Wenecji, w Rzymie, w Neapolu i niech sobie pani wyobrazi, nigdzie jednak nie mogłam zauważyć, że Włochy mają kształt buta.



Samolub.

Obudzono w nocy pewnego gospodarza, oznajmiając mu, że żona jego nagle umarła. Lecz on, obracając się na drugi bok, rzekł:

— O, mój Boże! Jakże się zmartwię jutro rano, gdy się obudzę...



Miłość własna.

Żebrak prosił o jałmużnę przechodniów, jeden zaś z nich odezwał się z wymówką:

— Wstydziłbyś się żebrać, mogąc jeszcze pracować.

— Prosiłem o jałmużnę, a nie o morały — odparł urażony żebrak.

Rodzinka.

— Udało mi się.

— No co?

— Miałem zamiar drapnąć jutro z moją buchalterką, a tymczasem żona uciekła dzisiaj z moim kąsjerem i z całą kasą.



Dwa listy.

I.

Ojcze!

Przegrałem wszystko wkarty. Muszę skończyć z sobą. Przyślij mi 60 złotych na kupno rewolweru.

S y n.

II.

Synu!

Sześćdziesięciu złotych nie posyłam, tylko 50 groszy. Kup za niego metr postronka. Skutek ten sam.

O j c i e c.

Dwoje ubogich.

— Mnie się bardzo źle powodzi, nie mam nawet soli do chleba.

— A ze mną gorzej, choć mam szczyptę soli, to jednak nie mam do niej ani okruszyny chleba.

Numer 10. Rok XII. Kraków, dnia 10 Marca 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara ocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Niedziele Wielkiego Postu.

W Wielkim Poście przypada sześć niedziel, a siódmą jest Wielkanoc. Każda z tych niedziel ma swoją odrębną nazwę i na każdą z nich przypadają w kościele katolickim inne nabożeństwa. Pierwsza niedziela Postu nosi nazwę „Invocabit" (będzie wołał), u nas w Polsce nazywamy ją Wstępną. Druga nosi nazwę „Reminiscere" (Wspomnij), u nas Sucha. Trzecia nazywa się „Oculi" (Oczy), u nas Głucha. Czwarta „Laetare" (Wesel się), w Polsce Środopostna. Piąta niedziela zowie się niedzielą pasyjną albo męki lub też Białą. Szósta wreszcie jest Palmowa albo Kwietnia.

Niepodobna tu opisać szczegółów nabożeństwa każdej tej niedzieli i wyjaśnić jego przyczyny; przytoczymy więc co najważniejsze.

W środę po trzeciej niedzieli, czyli w Środopoście uderza w południe dzwon, a to dla okazania radości, że już połowa postu minęła. I św. Jan Chryzostom o tym zwyczaju mówi: Widziałem wielu ludzi cieszących się i mówiących do siebie: Żyjemy, zwyciężyliśmy, już połowa postu minęła!

I niedziela następna okazuje nam także tę radość, bo już Introit w mszy św. zaczyna się słowami: Weselcie się z Jeruzalem, a radujcie się w niem wszyscy, którzy je miłujecie!

W niedzielę czwartą postu poświęca Ojciec św. w Rzymie złotą różę, która oznacza Chrystusa, woniejącego dla nas ciągle, jak róża pachnąca w całym tym ziemskim pobycie. I te róże dają papieże królom, królowom, miastom i kościołom za wybitne czyny w obronie wiary chrześcijańskiej. Z królów polskich różę taką otrzymali: Kazimierz Jagiellończyk, Jan III Sobieski i Jan Kazimierz.

W niedzielę piątą postu (Białą) rozpoczyna się właściwie pamiątka strasznej męki Pana Jezusa, gdyż już na dwa tygodnie niemal przed swą śmiercią poniósł Pan Jezus w kościele jerozolimskim od niewiernych żydów wzgardę i zelżywość, a nawet, gdyby nie był cudownie uszedł z kościoła, byłby już wówczas poniósł śmierć męczeńską. Już więc w tę niedzielę zaczyna się ta okropna męka Pana Jezusa i stąd słusznie nazywa ona się niedzielą męki. W niedzielę tę w kościołach zasłaniają krzyże, bo teraz jeszcze krzyża niema, bo dopiero w Wielki Piątek stanie na Golgocie. Dziś jest zasłonięty, a ukaże się w Wielki Piątek światu na zbawienie i na odkupienie win ludzkich.

Następuje niedziela szósta, czyli Palmowa. Jeszcze, mówiąc po ludzku, Pan Jezus zażywa chwały ziemskiej. Bo oto w tryumfalnym pochodzie wjeżdża do Jerozolimy, a lud wita Go owacyjnie, rzucając Mu pod stopy kwiaty i zielone gałązki palmy i wołając: Hosanna Synowi Dawidowemu! Pan Jezus wjeżdża do miasta, jak tryumfator, i niktby wówczas nie przypuścił, że tydzień nie minie, a tensam lud będzie krzyczał: Ukrzyżuj Go! Ukrzyżuj!

Szybko następują wypadki, szybciej, aniżeli sami oprawcy przypuszczać mogli. Arcykapłani żydowscy postanowili za wszelką cenę zgubić Pana Jezusa i to zgubić jak najszybciej, gdyż znając Jego cudowną moc, obawiali się, aby im nie uszedł. Napierali więc Piłata, aby ten corychlej wydał straszny wyrok. I stało się w myśl ich życzeń: w piątek tego samego tygodnia zawisł Pan Jezus na krzyżu, jak zbrodzień jaki, gdyż śmiercią krzyżową karano tylko największych zbrodniarzy, a oprawcy Jego ani nie przypuszczali, że krzyż ten stanie się w przyszłości zbawieniem dla całej ludzkości.

Nie przypuszczali, a jednak tak się stało! Dziś Krzyż jest pociechą i wybawieniem dla ludzi.

JÓZEF DZIERZKOWSKI.

Król Dziadów.

Powieść obyczajowa.

5. Niespodzianki balowe.

Bal u komisarza Krajkowskiego, odbył się wspaniale. Wszędzie było huczno i radośnie, cała rodzina poczciwego komisarza, była na usługi gości. Warto było widzieć, jak wszystkie panny, a było ich trzy na wydaniu, piękne i wesołe biegały żwawo i raźnie po sali, uśmiechem i spojrzeniem witały znajome twarze.

I sama pani Krajkowska również uprzejmie podejmowała gości.

Sami zaś goście ginęli wprost z ciekawości, tak ich nęciła tajemnica urządzenia owego balu. Dopiero w porze obiadowej mogli zaspokoić swą ciekawość, bo przyjechał ksiądz gwardjan i ten pobłogosławił dwoje narzeczonych a mianowicie panny Sabiny Krajkowskiej i pana Hektora Bumsa.

Aptekarzowa sama nie wiedziała, czy ma rozpaczać, czy się cieszyć, Bums ją zdradził, ale nie dla eks-aptekarzowej przecie.

Zaręczony miał postawę spokojną, zimną i uroczystą, jak przystało na taką chwilę i takiego człowieka, który jest już i takim urzędnikiem i pochodzi z takiego rodu, a ma przytem kilkanaście książeczek, o złożonych w kasach oszczędnościach.

Panna zaręczona dziwnie jakoś wyglądała; nie było w jej oczach ani prawdziwej uciechy, ani prawdziwego rozczulenia ,jakie w takiej chwili wypływa z kolizji uczuć tkliwych. W jej oku, w tej chwili ku oknu zwróconem, był rodzaj tęsknoty, i nawet wraz ze spojrzeniem i myślą uleciało lekko westchnienie.

W oku matki było także podobne, jak u córki, zamyślenie, i jej oko z rodzajem tęsknego żalu patrzy przez okno gdzieś w dal, w przeszłość może, czy przyszłość! czy tam, gdzie nadzieje są zawiedzione, czy tam, gdzie się próżne roją nadzieje...

— Szkoda! — wymówiła matka półgłosem i urwała.

To słowo jakby odklęło nieruchomą narzeczoną. Odwróciła się ku matce, jakby chciała mieć to słowo od niej wytłumaczone, i podniosła ku oczom chusteczkę, z których płynęły ciche łzy.

Wtem zaturkotało. Wszyscy pobiegli do okna i ujrzeli wcale ładny koczyk, zaprzężony dwoma starymi anglezami, którym znawcy niżyniecccy prawdziwie angielskie pochodzenie przyznali.

— A to cała awantura! — mówiły usta i oczy przytomnych pań i panów, na widok wysiadającej z powozu rodziny Glinieckich w towarzystwie naszego Eugenjusza, któremu rumieniec wstydu wystąpił na twarz za towarzystwo, w jakiem, jak wiemy, pod przymusem się znalazł.

Gliniecki za to i obie panny promieniały dumą i nadzieją.

— Geniuszek! przecie! — zawołała cała rodzina Krajkowskich.

— Mama nie przyjechała? — przemówiła pani Henrykowa do wchodzącego. — Szkoda! — dodała z wyrazem szczerego żalu.

— Ojciec... — zaczął nie umiejący kłamać młodzieniec.

— Pewnie słaba! — przerwała prędko pani Krajkowska, przez wzgląd na gości swoich, wyciągających ciekawe szyje i uszy.

Eugenjusz oddał uściski i na pytania odpowiadał najcierpliwiej, chociaż w głębi serca czuł niesmak. Zwykły to niesmak, jaki wynika z uderzenia prozy o uczucie poety. Między nim a mówiącymi stanęła postać Hani, w całym uroku poezji, w jaką ją jego serce odziewało.

— Jaki on piękny! — mówiły panie niżynieckie do siebie półgłosem niby, ale tak niecichym, że się aż Piotrunia, spojrzawszy na aptekarzową stojącą z wlepionemi w Eugenjusza oczyma, uśmiechnąć musiała.

— Ale skąd on się wziął w towarzystwie Glinieckich? — szeptały panie do siebie, mierząc pogardliwie perkalowe sukienki przybyłych panien.

— Hrabiowskie długi chce spłacić ekonomskimi pieniądzmi — powiedzieli mieszczanie ze zwykłą im wszystkim niekonsekwencją. Demokraci dla wyższych, arystokraci dla niższych.

Sabina zbliżyła się do Eugenjusza.

— I któraż z nich podoba ci się lepiej? — spytała, wskazując obie Glinieckie, przypatrujące się z upodobaniem w ogromnem lustrze swoim twarzom i szalikom.

— Mnie? Żadna!...

— Tyś już szczęśliwa? — wyrzekł nareszcie.

— Szczęśliwa?!...

— Kochasz i będziesz jego żoną.

— Pan hrabia dobrodziej nie przypomina mnie sobie? — ozwał się głos jakiś tuż za uchem Eugenjusza.

Pan Szumski w czamarce stał przed nim, przybrawszy uroczystą minę i postawę, jakby protokół zaczynał.

— Jestem Szumski? — odrzekł pan justycyarjusz głosem takim, jakby mówił: Jestem Napoleon. Milczenie Eugenjusza biorąc za potwierdzenie, ciągnął dalej: — Bywałem w Wyżyńcach, gdyś pan był jeszcze małem dzieckiem... Pozwoli pan! — dodał i, wziąwszy za rękę zaambarasowanego młodzieńca, poprowadził go wprost do swoich córek, które wraz z licznem gronem dziewcząt stały przy jednem oknie, poskubując rozstawione na niem kwiaty...

— Pan Hrabia Eugenjusz Wyżyński... moje córki: Tekla i Barbara Szumskie.

Eugenjusz skłonił się w milczeniu.

— Pan lubi kwiatki? — zapytała Teklusia.

— Któżby nie lubił kwiatków — odrzekł bez myśli.

— Pan pewnie lubi goździki — wyrwała się Teklusia, uradowana, że się jej udało wścibić taki dowcipny i zaczepny koncept.

— Goździki? — odrzekł Eugenjusz machinalnie, nie rozumiejąc zapytania i odszedł w inną stronę...

— Przyznał się! przyznał! — mówiły siostry do siebie, klaszcząc w dłonie. — I uciekł, bo się wstydzi...

Eugenjusz był bohaterem tego dnia, bo go sobie panie i panny z rąk do rąk wyrywały.

— Kuzynku! a ze mną! — szeptała mu do ucha panna narzeczona i jej siostry.

Eugenjusz z Sabinką szli na przedzie, tańcząc krakowiaka. Zwrotki na prędce klejono, składały się same w słowa, w których łączyły się obojga myśli. U niej tęsknota za przeszłością, u niego pragnienie tej przyszłości, ku której bieży serce młodzieńca, tchnieniem poezji i biegiem młodej krwi rozpalone.

Zmęczenie przerwało krakowiaka. Nastała chwila przestanku, chwila milczenia, nagle przerwana głośnym łoskotem burzy.

— Niej żyje młoda para! muzyka graj! — zawołał gospodarz, pojawiający się w sam czas z ogromnym kielichem.

A basetlista całej użył sztuki i całej umiejętności swojej, by chrapliwym i huczącym tonem zagłuszyć grzmoty szalejącej na dworze burzy.

Pan Hektor wyszedł na środek, aby podziękować, i miał zamiar coś pięknego zapewne powiedzieć. Wszyscy nadstawili uszu, szykując zarazem kielichy, bo pan narzeczony uchodził w Niżyńcach za mowcę niepospolitego.

W tej samej chwili ozwał się jakiś głos piskliwy i chrapliwy, a nie mniej przeto donośny:

— Ratujcie!

I wbiegła do pokoju jakaś kobieta stara, brzydka, w brudnem i ubogiem odzieniu.

Na jej widok, jak na widok upiora, zadziwienie i przerażenie odmalowało się na wszystkich twarzach.

— A to co? — pisnęły kobiety i powtórzyli mężczyźni, którym wszystkim prawie kobieta ta była nieznana.

Eks-burmistrz Wiciewicz, który właśnie rozmyślał, czy czekać jeszcze na kolację, czy dokonać zamiaru, jaki był sobie na dzisiejszą noc ułożył, skoczył jak oparzony. On jeden znał ją doskonale.

— Otruty!... ratujcie! — krzyczała kobieta.

— Otruty! — wybiegło ze wszystkich prawie ust. Przerażenie ogólne przybierało kolosalne rozmiary.

— Kto taki? — powstał wrzask ogólny.

— Otruł go! otruł bez miłosierdzia! — jęczała kobieta. — Ale ja się zemszczę!

— Kto otruty?

— Kto otruty? Mówże na miłość Boga! — wołał poczciwy Krajkowski.

— Mój stary! mój poczciwy!... nikomu nic złego w życiu nie zrobił... mój kot!...

W pierwszej chwili przemogło jeszcze powszechne osłupienie. Raptem przerwał milczenie śmiech wszystkich obecnych.

Stara Marta, bowiem ona to była, patrzała na śmiejących się z wyrazem oburzenia, niepodobnym do oddania...

Komiczność położenia dla niej nie mogła być zrozumianą, bo żal jej był słuszny.

— Ten go otruł!... ten niegodziwiec! — mówiła kobieta, suchym palcem wskazując jeden kąt pokoju.

Wszyscy się rozstąpili i spojrzeli w kąt wskazany. Przed chwilą w nim drzemał stary Wiciewicz, lecz w czasie zamieszania i śmiechu wyniósł się niepostrzeżony.

Burza tymczasem wściekłej jeszcze zawrzała na dworze. Huk piorunu, poprzedzony jaskrawą błyskawicą, rozległ się po sali.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołała nagle Sabina, stojąca z kuzynkiem Eugenjuszem, niedaleko okna. — Ktoś stoi koło okna! Patrz, co za twarz okropna!

Eugenjusz spojrzał za jej palcem i wzrokiem, i w rzeczy samej ujrzał jakąś twarz. Lecz czy istotnie nie była tak okropna, jak się pannie Sabinie przy oświetleniu błyskawicy wydała, czy jako mężczyzna nie był tak wrażliwy, uśmiechnął się tylko.

— Niema się czego bać — wyrzekł. I uśmiech ust przeszedł mu do oczu, które zabłysły dziwnym jakimś wyrazem.

Biedna Marta, zrozumiawszy, że nie znajdzie ratunku pomiędzy ludźmi nieczułymi na jej zmartwienie, pobiegła do domu. Po drodze staruszka modliła się z całą szczerością, aby kota zdrowego zastała.

— Co to wam Marto? — zapytał ją jakiś głos.

— Co mnie jest? odpowiedziała z zadziwieniem, że ją kto jeszcze może pytać o to.

I chciała już przejść koło naszego znajomego, pana Srula Feigele, który nie zważając na burzę, stał niedaleko wrót Wiciewicza.

— I gdzież to wasz pan tak późno pojechał? — pytał Srul dalej.

— To on pojechał? — odpowiedziała Marta.

— A któż inny? — Ja sam widziałem.

— Dokąd pojechał ten niegodziwiec? Dokąd? Pieniądze zakopywać.

— Zakopywać... a gdzie?

— A gdzież indziej, jeśli nie w swojej pasiece — odrzekła szybko i wbiegła do domu.

Biedna Marta! Kota zastała już nieżywego.

Wiciewicz popędził tymczasem konika i dążył ku swojej pasiece, nie spostrzegłszy z powodu burzy, wozu dążącego tuż za nim, w którym siedziało dwóch mężczyzn.

Tymczasem w sali balowej, stało się naprawdę tragiczne zdarzenie.

Po wyjściu Marty, zagrano nowego mazura, którym nikt się tak nie cieszył, jak Marysia Gliniecka. Miała go tańczyć z Eugenjuszem.

Gdy już wszystkie pary się ustawiły do mazura, Marysia nadaremnie czekała na swoją parę. Nie mogąc się doczekać, szukała po całym domu wraz z obecnymi gośćmi, lecz Eugenjusza nie było.

Gospodarz stroskany o siostrzeńca, pojechał do Wyżyniec, sądząc, że go w domu zastanie.

Nadzieja go zawiodła. W domu grafa Ignacego, powstało wielkie zamieszanie, gdy pan Krajkowski, oznajmił o zniknięciu Eugenjusza.

Pani Zofja padła zemdlona.

Noc przeszła i drugi dzień przeminął, Eugenjusz znikł bez wieści.

Co się działo w Niżyńcach, tego na wołowej skórze nie spisać. Wszyscy biegali z domu do domu, a wszyscy z nowinami. Każdy coś powiedział, coś zasłyszał, a wszystko razem najmniejszego nie miało sensu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wsi polska!

O, polska Wsi! Ty duszę ogarnij słodyczą,
Cichością chat drewnianych, skrzypem koromysłów,
I myśl uwolnij ciężką od dziwnych zamysłów,
I serce zmyj, oblane mów ludzkich goryczą.

Ty owiej mię, opromień jaskółek szczebiotem,
Śpiewkami dziewczyn, słońce gdy wschodzi kurzawą
I rozwiej mi z nad czoła aureolę mgławą,
Co mdlejące skowronki w niej wiszą pokotem.

O! polska Wsi! Weź smutną ty w swoje ramiona.
Walczyłam z oceanem jak losu igraszka —
Ty dobrotliwa podnieś zmartwiałego ptaszka
I połóż go na ławce, w cieple, u wrzeciona.

O, zobaczysz, że głowę i skrzydła uniosę!
Zaśpiewam tobie głośno, ile mocy mojej
Z uszami w twoich pieśniach i tęsknocie twojej,
Oczami, co łez słoną pożegnały rosę.

Wsi polska! Z twego łona my wszyscy się wzięli.
Ja do ciebie powracam z miast podłego gwaru
I tęsknię do pól twoich, twoich ludzi czaru,
Twojej polskiej prostoty i wód twych topieli!

Irena Trzaskowska drowa Zawadzka.

Tragedja Janka.

Był śliczny wieczór majowy. Na zachodzie widniały zorze przyoblekłszy niebo blado-różową purpurą i gwiazdki złociste poczęły migotać w przestworzach, a nawet księżyc srebrno-blady, wychyliwszy swą uśmiechniętą twarz pełni, zdał się bawić widokiem przyrody, pogrążonej w jego matowatem świetle, tej przyrody, co rwała się do życia całem tętnem swej młodości i świeżości wiosny.

Drzewa, ustrojone liściem i umajone kwieciem, rzucały długie cienie, a zapach ich kwiecia z aromatami, płynącymi z rozległych pól i łąk kwiecistych napełniały powietrze. Śpiew zaś ptasząt w gałęziach drzew i karłowatych krzewów i plusk wesołych rybek w stawie oraz szum rwącego górskiego strumyka — mąciły ciszę wieczorka majowego.

Na skraju wioski stoi ubogi domek, pogrążony w zieleni drzew, przed domkiem rozciąga się ogródek z grządkami kwiatów i roślin warzywnych. Tam w tem zaciszu rozmawiał ładny, rosły, o bystrem wejrzeniu góral z równie ładną góralką, dziewczyną smukłą o modrych oczkach i pękach jasnych, jak len włosów, splecionych w dwa długie warkocze. Opodal rżał koń, przywiązany do drzewa i skubiący trawę w około.

On był ubogim, ona też, a kochali się nad życie, a chcąc sobie założyć gospodarkę, postanowił Janek, bo takie było imię górala, pójść na obczyznę i zapracować coś grosza, by mu starczyło na spłaty rodzeństwa i na zagospodarowanie się, a potem wrócić do swej najukochańszej, pojąć ją za żonę i żyć wspólnem szczęściu błogo, dopóki Bóg pozwoli.

Żegnając się z dziewczyną, góral rzekł:

— Musisz Zosinko przetrwać cierpliwie chwile rozłąki, chwilę może dość długą, może rok, może półtora, może dłużej, a ja gdy swój cel osiągnę, lotem ptaka powrócę do ciebie w objęcia twoje i wówczas wprowadzę cię w podwoje świątyni, gdzie ksiądz złączy nasze losy na wieki. Ale ty mi, Zosiu dochowaj wierności!

— Jakże możesz, Janeczku, wątpić nawet o tem. Słowa danego ci dotrzymam, a ty wracaj do mnie szczęśliw, a teraz niech cię Bóg ma w Swej opiece i udzieli ci szczęścia na obczyźnie, — odpowiedziała przez łzy dziewczyna.

I ostatni raz Janek uścisnął jej rączkę, ostatni raz wziął ją w objęcia, poczem skoczył na koń i skinąwszy kapeluszem na pożegnanie, pognał gościńcem w dal na tułactwo do obcych, lecz pojechał w dobrej nadziei, że za lat parę wróciwszy, zbuduje dla się szczęście w swej wiosce rodzinnej przy boku ukochanej istoty.

Minął rok i drugi miał się ku końcowi, a o Janku nic nie słychać. Z początku Zosia biegła często, gnana tęsknotą, na pagórek, czy Janka nie ujrzy wracającego z obcej ziemi w jej objęcia. Lecz o Janku ni słychać, ni go widać, a biednej dziewczynie zwątpienie pomału poczęło wkradać się w serce i różne przypuszczenia snuły się przez jej biedną głowę:

— A nuż nie wróci, może pokochał inną, o mnie zapomniał, zapomniał przysiąg i przyrzeczeń swych, bo ci mężczyźni tacy lekkomyślni są w tym wieku, a ja próżno czekam i lata mi uciekną w samotności, w tęsknocie — może beznadziejnej...

A to przekonanie wbił w jej serce najwierniejszy kolega Janka, Staszek i zręcznie w niej tę iskierkę nieufności i zwątpienia podsycał, aż ta wybuchła płomieniem, który spalił miłość do Janka w sercu Zośki, ale przeniósł się na Staszka, który, aczkolwiek syn dość zamożnego gospodarza postanowił wykorzystać nieobecność Janka na przeprowadzenie swych planów, bo Zosia się mu podobała, a jej pracowitość i anielska prawie dobroć i jej uroda, mimo jej ubóstwa, były czynnikiem, pchającym Staszka w objęcia Zosi. Że biedna, to nic, wszak ileż przykładów mamy, że z kobietą gospodarną, pracowitą, choć ubogą prędzej się czegoś dorobić można, niż z zamożną, a grymaśną i rozleniwioną.

A że Staszek był też chłopakiem porządnym, trzeźwym i pracowitym no i ładnym, a do tego majętnym, to też Zośka niedługo patrzyła obojętnie na jego usługi.

A Janek tymczasem harował w czoła pocie, by zebrać grosz do grosza, ręce mdlały mu z trudu, ale sił dodawała myśl o tej, tam daleko za górami, za lasami. Tęsknota żarła jego siły bardziej od pracy, ale osładzała ją nadzieja, że nadejdzie dzień powrotu do ojczystej ziemi, do rodzinnego sioła, do tej chaty bielonej, niskiej, w objęcia drogich sercu, do tego ogródka, gdzie kwitły czereśnie, jabłonie, grusze i bzy, gdzie wykwitła ich miłość, czysta jako łza...

Mroźny dzień zapustny, mróz luty i wiatr ostry smaga po twarzy samotnego wędrowca, a śnieg skrzypi pod jego stopami. Twarz opalona z szumiastym wąsem, który mu mróz osrebrzył, barania czapka na głowie, na plecach tłomoczek, a w ręku laska, którą podpiera się, a choć ostry wiatr, wyjąc w polu, wieje mu w twarz i sypie tumanem śniegu, on idzie z miną junacką żwawo, gnany, zda się więcej jakiemś pragnieniem, niż dokuczającem mu zimnem. Aż tu słyszy dźwięk dzwonków i wkrótce wśród śnieżnych pól ukazują się sanki jedne, drugie i dalsze, a przy nich po parę koni ciągnących je. I widząc orszak weselny, wędrowiec zdejmuje czapkę z głowy, by ją wyrzucić na wiwat, gdy nagle okrzyk zamiera mu na ustach, oczy wytrzeszczył, dreszcz zimny i gorący przeszedł jego ciałem, bo oto widzi oną, Zosię, za którą tyle lat tęsknił, do której lotem ptaka biegł, byle ją mieć, byle jaknajprędzej módz do piersi ją przycisnąć, widzi ją ubraną w bieli, jak anioła, z wiankiem na złotych splotach, widzi ją przy boku swego kolegi wiernego, Staszka. I oto, gdy był bliskim upragnionego szczęścia, nagle ujrzał się strąconym z wyżyn słonecznego nieba w czarnej otchłani, do której słonko powabu życia nie dochodzi nigdy. Tedy bezwiednie się skłonił i z piersi wyrwał się mu okrzyk bólu targającego serce:

— Zosiu, to ja, Janek, Janek twój pierwszy!... tu głos urwał, ale tylko echo odpowiedziało na krzyk zranionego serca, bo konie pędząc z wichrem w zawody, uniosły orszak weselny w stronę kościoła parafjalnego.

Ale głos serca szeptał Jankowi:

— Idź prędko, zanim do ołtarza przystąpi ona, zanim ślub złoży, stań przed nią i powiedz jej: Otom twój Janek, a gdzie twe zaklęcia?

I Janek biegnie, ale droga długa jakoś, wicher mu przeszkadza, śnieg sypie się w oczy, ale to nic, byle prędzej, byle jeszcze przywitać się z nią, może wspomni dawną miłość, może serce odmieni...

Wszystko napróżno, bo oto dobiega do bram kościoła i słyszy dźwięki organów na Veni Creator, wchodząc do kościoła, słyszy dźwięczny głos Zosi, płynący po kościele:

— A iż cię nie opuszczę, aż do śmierci!

— Zapóźno, — jęknął Janek i załamawszy ręce, runął z wyczerpania do ławki. W oczach mu ciemne

kółka skaczą, serce kołacze, traci przytomność na chwilę. Po chwili wybiega z kościoła i zamiast do wioski, skierował kroki swe w stronę ciemnego lasu, gdzie skalny jar przepaścisty dzielił ten las na poły...

Wicher zawył przeraźliwie, zajęczał ponury las, przygłuszając głuchy łoskot we wnętrzu skalistego jaru.

Na wiosnę robotnicy, idący kamienie łamać, znaleźli zwłoki człowieka, którego głowa przedstawiała bezkształtną masę, a z papierów znalezionych przy nim poznano, że to był Janek, ongiś kochanek Zosi.

Powszechnie mniemano, że zbłądziwszy z drogi wśród ciemnej nocy, spadł w przepaść, gdzie znalazł śmierć okrutną. *W. Miesiączek.*

Ocalony.



Któż nie słyszał o psach z góry świętego Bernarda?... Były one i są jeszcze dla zbłąkanych lub zaskoczonych burzą śnieżną podróżnych zwiedzających Alpy dobroczyńcami, a nieraz zbawcami życia. Od dawna odpowiednio tresowane przez zakonników z klasztoru świętego Bernarda, niosą one pomoc tam, gdzie człowiek daćby jej nie mógł, a mianowicie podczas burz śnieżnych, gdy drożyny i ścieżki górskie śnieg zasypie.

Wówczas znajdują one zbłąkanych, odgrzebują ich z pod śniegu, a naszczekując, sprowadzają na ratunek ludzi.

Obrazek nasz przedstawia właśnie wzruszającą scenę, gdy psy z góry świętego Bernarda odnajdują zabłąkanego wśród śniegów alpejskich podróżnego i starają się go ocucić...

— Ocalony! — szepcemy, patrząc na dzielne i rozumne stworzenia — ocalony!...

Podróż na drzwiach do Rzymu.

Znużony całodzienną pracą proboszcz, chcąc na chwilę wypocząć, udał się na cmentarz, znajdujący się tuż obok kościoła i usiadł na ławeczce pod lipą. Było to pod wieczór. Słońce znużone całodzienną wędrówką po niebie, zaczęło powoli chylić się ku upadkowi, rzucając resztki złotych swych promieni na dach kościelny. Proboszcz zaczerpnąwszy świeżego powietrza, odetchnął swobodnie a rzuciwszy następnie wzrokiem w stronę kościoła, zamyślił się głęboko.

Z zadumy tej zbudził go nagle gwałtowny szum i łopot w konarach, starej, rozłożystej lipy, pod którą znajdowała się ławeczka. Zwrócił wzrok do góry i ujrzał siedzące tam trzy kruki, a uważając to za zwykłe zjawisko przyrody, nie zwracał na nich uwagi. Słońce tymczasem gasło i proboszcz postanowił wracać na plebanję, gdy wtem usłyszał dźwięk mowy ludzkiej na lipie. Postanowił przeto chwilkę zaczekać i posłuchać rozmowy. Posiadał on moc zaklinania duchów. Z rozmowy tej dosłyszał tyle, co kruki między sobą opowiadały, że tej jeszcze nocy będzie sam Lucyfer w własnej osobie u papieża w Rzymie, w przebraniu wysokiego dostojnika świeckiego, aby go w błąd wprowadzić a papież go nie pozna. Skoro tylko kruki skończyły pogawędkę, proboszcz nie namyślając się długo, wymówił słowa zaklęcia. Gdy wymawiał ostatnie słowo, zleciały owe 3 kruki na ziemię i przemieniły się w 3 biesów. Ci z miną pokorną pokłonili się proboszczowi i zapytali, w jakim celu ich wezwał. Ten odpowiedział, że mają go zaraz zanieść na tych dużych, żelaznych, wchodowych drzwiach kościelnych do Rzymu i wysadzić go przed pałacem papieskim. Na takie „dictum acerbum“ poskrobali się djabli po kudłatych łbach, jednak pan każe, sługa musi usłuchać. Oświadczyli też zaraz zgodę i gotowość do podróży, a z ramion wystrzeliły im skrzydła nietoperza. W mig zdjęli z zawiasów olbrzymie drzwi kościelne i przynieśli je do stóp proboszcza. Usadowił się, jak tylko mógł, na nich wygodnie i dał znak do wyruszenia w podróż. Drzwi z proboszczem umieszczone na barach biesów zaczęły podnosić się w górę, a gdy wzbiły się na taką wysokość, że można było przejechać ponad najwyższe góry i lasy, zawróciły ku południowi. Proboszcz wyciągnął różaniec z kieszeni i zaczął się tymczasem modlić. Nie skończył go jeszcze

odmawiać, gdy drzwi opadły przed pałacem papieża.

Uzyskawszy następnie pozwolenie na wstęp do papieża, zjawił się przed nim. Siedział przy stole zajęty rozmową z tym dostojnikiem, o którym właśnie kruki na lipie opowiadały. Po ceremonjach powitalnych z papieżem, zwrócił się do dostojnika i nie mówiąc ani słowa, wymierzył mu momentalnie tak silny policzek, na jaki tylko mógł się zdobyć. Zdumienie ogarnęło papieża, gdy dostojnik po tem uderzeniu zniknął w jednej chwili a na miejscu owem, na którem się znajdował, pozostała tylko kapka cuchnącej mazi a w pokoju zapach siarki.

Opowiedział następnie proboszcz całą historję papieżowi, który udzielił mu na pożegnanie błogosławieństwa. Opuściwszy podwoje papieskie, udał się na miejsce, w którem zostawił drzwi z biesami a usadowiwszy się na nich, kazał się odwieść z powrotem. Powróciwszy na miejsce zamienił biesów napowrót w kruki i uwolnił ich. Drzwi te, na których urządził sobie ową legendarną przejażdżkę do Rzymu, postanowił na pamiątkę zachować. To też rozkazał sporządzić nowe drzwi do kościoła, a te kazał odjąć i umieścić je w kościele za ołtarzem, gdzie podobno po dziś dzień się znajdują.

Dla ciekawości czytelników dodaję, że miejscowość ta znajduje się w zachodniej Małopolsce, w powiecie jasielskiem i że w tej miejscowości znajdują się faktycznie w kościele za ołtarzem jakieś staroświeckie drzwi, do których niniejsza legenda jest przywiązana.

Piotr Wenc.





MACIEK BZDURA GADA:

Cytelnicy „Roli" to są okrutecnie przyścipni ludzie. Oni chcą ciągiem, abym jem zawse ino do śmichu gadał, bo powiadają, ze za to płacą, to oni tak chcą mieć, jak chcą. Ale gadaj tu do śmichu, jak ci w tem świętem poście kiski w piersiach załobnego marsia grają. Bez całe siedem tygodni ni ma se cłek cem zywota naprawić, bo ino codzień zimniacki, i to takie samiusieńkie bez krztynki świńskiego ogona. Nie do śmichu się więc cłekowi zbira, ale na płakanie i gdybym się nie bał, ze z mojego płakania zaraz będzie potop świata, tobym juz od przysłej niedzieli zacął płakać.

Boję się jednak zacynać, bo jak tak juz ludzie po tych mrozach i śniezyskach pobrzdąkują se o powodziach i wylewach, to jakbym ja jesce do tego swoje płakanie dodał, to moze nawet całe Tatry pod wodąby się znalazły. Latego nie będę płakał i co mi kto zrobi.

Zreśtą płakanie to niby znowu nie taka wielga rzec, a przeciez nie kuzden porządny człowiek to potrafi. Baba to co inksego, ale niejeden chłop, choćby go cholera brała, to mu z oców woda nie polizie, zeby nie wiem jak kcioł.

U baby zasie to wszyćko na wierzchu, więc i płakanie takze. Kuzda baba to lubi okrutecnie płakać i ślochać, jakby umyślnie była do płakania stworzona. Ale to jesce nic! Baby nietylko, ze same lubią ryceć, jak nieboskie stworzenia, ale one chcą jesce, zeby cały świat z niemi płakał, cy ma cego, cy ni ma.

Baba, na przykład, jak za nią chłopaki gonią i jem się podoba, to zaraz wyje, jaka ona to niescęśliwa i ze ni ma ani chwili spokoju tak we dnie, jak i w nocy. W dzień, bo musi ciągiem na nich patrzyć, a w nocy, bo się jej śnią od wiecora do rana. Ale niech na którą zaden śturkac nie spojrzy, to baba zaraz beksy wyprawia, ze nikt o nią nie zastoi.

Jak ma zeniata baba złego chłopa, który od casu do casu powrozem ją przeciągnie, to ciągiem ślochy wyprawia, ze ją Poniezus pokarał i ucynił ją taką niescęśliwą, ze jej chłop za cęsto kości rachuje. Ale jak inksa ma chłopa jak Archanioł Gabryjel, to znowu będzie chlipać, ze jest tak upośledzona, ze ma chłopa ciamajdę, a nie chłopa.

Zreśtą cy widział kto taką babę, któraby na swojego pośturkaca nigdy nie płakała? Ja jesce nie widziałem i pewnie nikt nie widział i nie zobacy. Bo kuzda baba, cy ma chłopa dobrego, cy złego, jak jej ten chłop zamrze, to płace, ze ona została taka bidna sirota i ni ma jej kto prędko pociesyć, ale znowu, jak chłopu się ani śni o umarciu, to baba wyje, ze ona taka uściśniona zyć musi z jednem, a ni moze se ani raz w tydzień odmienić.

A i w inksem zyciu to kuzda lubi okrutecnie płakanie. Ona jak se umyśli, ze ją spotka jakie niescęście, to choć ono ani o babie nie myśli, to baba będzie lamentować i komedyje wyprawiać, ze na nią to niescęście wlizie — ale jak się jej to nie sprawdzi, to wtedy jesce bardziej wyje z ty złości, ze się jej to nie sprawdziło.

A chciejcie babę do cego namawiać, choćby najlepsego na świecie, na przykład do pirogów ze syrem, to choćby ona tego najbardziej pragnęła, to zaraz będzie się jej lała woda ze ślipiów i będzie gadać, ze ona tego nie chce, a ino ją tak ludzie tem prześladują. Ale jesce bardziej becy, jak się nikt do niej nie misa i do nicego jej nie namawia, ze wszyscy o niej zapomnieli i nikt o nią nie stoji.

A powiedzcie babie, ze nieprawdę ona gada, to wam zaraz skocy na was z pazurami i będzie płakała, jak wciorności, o krzywoposądek i rzucanie na niej niewinności. Ale spróbujcie powiedzieć babie, ze przecie raz prawdę powiedziała, to się takze na cem inksem nie skońcy, jak na płakaniu.

Z tego wszyćkiego, com wam powiedział, to sami widzicie, ze płakanie to niby niewielka rzec, a przeciez nie kuzden męzcyzna je potrafi, ale baba kuzda. I powiadam wam, ze wszyćkie baby, jak to moje gadanie dzisiejse przecytają, to się rozpłacą ze złości na mnie, zem jem prawdę powiedział. Ale ja se z tego nic nie robię, bo przynamniej mam tę pociechę, ze nie będę potrzebował sam płakać, ale zrobią to za mnie Cytelnicki „Roli", które okrutecnie miłuję za zycia i po śmierci.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Rodezja.

W Afryce południowej istnieje duża kolonja angielska, Rodezja. Pisaliśmy o niej w Rzeczach ciekawych w Numerze 8 „Roli“ p. t. „Gdzie bociany zimują“. Mieszkańcami Rodezji są murzyni. Zachowują oni do dnia dzisiejszego dawne zwyczaje i obyczaje, mimo kultury nowoczesnej, jaką im niosą Anglicy i misje katolickie.

Ponieważ zwyczaje te niewątpliwie w niedługim czasie muszą zaniknąć, podajemy niniejszem ciekawy opis grzebania królów tamtejszych i wyboru nowego wśród tego plemienia czarnych. Opis ten poucza najlepiej, jak egzotyczne jeszcze panują tam zwyczaje.

Króla grzebie się tu wedle rytuału przodków, a uroczystości pogrzebowe trwają czternaście dni. W chacie, w której król umarł, zbierają się wójtowie i starsi z ludu. Zwłoki króla układają na trzech garnkach, do których spadają robaki, toczące nieboszczyka, a jeżeli jakiś robak spadnie na ziemię, to wójci skrzętnie go zbierają i kładą do garnka. Ceremonja ta trwa tak długo, aż robaki wszystkie poskładają do garnków i pozostanie sam szkielet. Biada, jeżeliby jaki robak z gnijącego trupa wyczołgał się poza chatę. Wtedy, wedle wiary murzynów, duch króla wstępuje w lwa, a lew pożera ludzi. Osobny więc jest wójt, który czuwa dzień i noc, by wszystkie robaki z trupa znalazły się w odpowiednich garnkach.

Szkielet trupa wiążą murzyni sznurkami, by się trzymał dobrze i nie rozsypał się. Owijają to potem płótnem i kładą do plecionki i wynoszą do lasu pod wielkie drzewo. Tu część rzeczy jakich używał król, dają do grobu, a część wieszają na konarach tego drzewa, pod którem kopią grób. Jako nagrobek wtykają kość słoniową (ząb).

Nim Rodezją zawładnęli Anglicy, kładli na spód grobu trupy wójtów króla, na trupy wójtów cztery kobiety, na trupy kobiet żywą żonę zmarłego króla, a na nią dopiero zwłoki króla i przy odgłosie bębnów i dzikich okrzyków zasypywano tę straszną mogiłę. Tę część ceremonjału biali dziś już skasowali.

Żałoba po królu trwa rok. Choć jest następca upatrzony, to jednak nie ma żadnej władzy. W rocznicę śmierci króla zamykają następcę w chacie. Raniutko przychodzą starsi z ludu, pytają się go, co mu się śniło.

— Widziałem dużo kukurydzy, owiec i kóz — odpowiada następca.

Wtedy starsi cieszą się i wyprowadzają go z chaty, jako nowego króla. Ale nim swe rządy rozpocznie, dają mu dwumiesięczne „rekolekcje“, zamykają go w odosobnionej chacie, nie wolno mu z nikim rozmawiać, żadnej wizyty nie może przyjmować, żyje z konieczności i z przymusu, jak pustelnik, bo taka wola ludu.

Gdy te rekolekcje skończą się, urządzają starsi z ludu wielką uroczystość, ze wszystkich stron schodzą się wójtowie szczepu. Kładą matę. Na tej macie siada król z nakrytą głową płótnem i pokornie słucha, co mu starsi, a potem wszyscy obywatele powiedzą. Wyliczają oni mu wszystkie jego wady, z których się ma poprawić, nim zacznie rządy, mówią poprostu, bez żadnych dyplomatycznych wykrętów.

Następnie dają mu przestrogi, rady, wskazówki, jak ma rządzić, żeby obywatele byli pod jego rządami szczęśliwi i zadowoleni. A musi się tego trzymać, co mu starsi poradzą, bo w przeciwnym razie długo nie pożyje... To też król murzyński musi słuchać starszych, bo inaczej biada mu!

Gdy tak nalewają rozumu do głowy następcy tronu i wszystkie jego cnoty i niecnoty w oczy mówią publicznie wobec ludu, dają mu przy tem dary, składając je u nóg w naturze i w pieniądzach. Następnie zabijają barana u nóg jego i krwią pokrapiają rzeczy po starym królu, które otrzymuje teraz nowy król. Następnie najpoważniejszy ze starszyzny pomazuje oliwą nogi, ręce i plecy nowego króla. Piciem i tańcami kończy się cała uroczystość. Taki właśnie uroczysty taniec widzimy na naszym obrazku.

Nowy król otrzymuje imię dawnego króla. Obecny król Rodezji nazywa się Mpansia. Liczby porządkowej następców nie znają.



Uroczysty taniec murzynów w Rodezji.

Król jest wybieralny. Wybierają zwykle brata zmarłego króla, a gdyby tego brakło, w takim razie syna lub kogoś z najbliższej rodziny. Wybieralność ta jest jednak ściśle ograniczona zwyczajami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli" przez K. L.

17. Miss Oldenburg.

Ranek świtał. Na wysokich źdźbłach trawy zabłysły, jak perły, wielkie krople rosy.

Chłodne poranne powietrze owiało Izę i ochłodziło jej czoło. Zbudziła się z omdlenia. Zerwała się, jakby z wielkiego snu. Ona była znów sama — tak strasznie sama. Rozpacz dodała jej sił i zaraz puściła się w tułaczą drogę. Bezradna, pozbawiona wszelkich funduszów, wędrowała Iza z rozpaczą w duszy, po szosie, wiodącej do Filadelfji. Znużona pragnęła spoczynku i zbliżyła się do pieczary.

W tem przed nią stanął jakiś mężczyzna... Był to Antoni Janik, ów dozorca ze szpitala obłąkanych, który dopomógł jej do ucieczki. Iza opowiedziała mu swą ciężką dolę. Antoni obiecał jej pomoc i ruszyli razem w stronę Filadelfji.

Gdy wreszcie przybyli na miejsce, Iza zastanawiała się nad sposobem utrzymania swego i zebrania funduszów, potrzebnych na odszukanie dziecka.

Przypomniała sobie, że w szczęśliwych czasach, a mianowicie w latach dziecinnych i młodzieńczych, śpiewała, a wszyscy słuchacze zachwycali się jej głosem.

Postanowiła więc próbować szczęścia w śpiewie. Niebawem więc z pomocą wiernego Antoniego, kupiła odpowiednie stroje oraz nuty, i zaczęła występować na scenie pod pseudonimem miss Oldenburg.

We wszystkich salonach i towarzystwach, na spacerach i w teatrach nie mówiono o niczem innem, jak o nowej „gwieździe", która nagle pojawiła się w wielkiej sali koncertowej kasyna i zachwyciła nietylko panów, ale i panie.

Niebawem sława miss tak wzrosła, że przedsiębiorcy koncertowi z innych miast, poczęli przysyłać jej zamówienia i dobijać się o tak cenioną śpiewaczkę.

Wszelkie sprawy dotyczące występów Izy, załatwiał Antoni, który był jej impresarjem, czyli administratorem. Ona zaś zajmując kilka eleganckich pokoji w pierwszorzędnym hotelu, żyła odosobniona, nie przyjmując nikogo, oprócz krawcowych i modniarek.

Raz zajechał piękny ekwipaż, zaprzężony w parę ognistych rumaków.

Wysiadł z niego najbogatszy z amerykańskich światowców, mister Sulliwan.

Był to bardzo elegancki i piękny mężczyzna. Kazał zameldować się śpiewaczce; lecz tu spotkała go odmowa, gdyż Antoni, chcąc spełnić życzenie Izy, nie chciał wpuścić go do niej. Dopiero na usilne prośby, poparte papierem studolarowym, Antoni zgodził się go zameldować.

Po chwili wyszedł, prosząc gościa za sobą.

Mister Sulliwan, stanąwszy przed Izą, wręczył jej wspaniały bukiet, składając hołd jej pięknemu głosowi i prosząc ją, aby łaskawie zaszczyciła jego dom swoją obecnością, na wieczorze wydanym przez niego.

Iza zgodziła, tylko pod warunkiem, że występ jej będzie bezpłatny. Ponieważ jednak mister Sulliwan nie chciał się na to zgodzić, więc honorarjum swe kazała złożyć na rzecz ubogich i opuszczonych w Filadelfji.

Sulliwan złożył hołd jej dobremu sercu i powtarzając jej swe gorące prośby, opuścił jej podwoje.

Iza zgodziła się tylko pod warunkiem, że występ jej będzie bezpłatny. Ponieważ jednak mister Sulliwan miały bukiet od Sulliwana i udała się bogatym powozem do budynku koncertowego.

Tutaj swym melodyjnym i dźwięcznym głosem znowu podbiła publiczność i cała sala trzęsła się od burzy oklasków.

18. Wieczór u bogatego Sulliwana.

Wielkie sale i liczne mniejsze salony w pałacu Sulliwana tonęły w morzu światła, spływającego z tysięcy lamp elektrycznych. Sala taneczna była olbrzymia i rzęsiście oświetlona. Obok tej sali mieścił się salon koncertowy — nieopisanej piękności, ozdobiony i urządzony z tak niesłychanym przepychem, że przywodził na pamięć baśnie z „Tysiąca i jednej nocy".

Tu zebrali się goście bogatego Sulliwana: panowie i panie, tu szumiały atłasy i jedwabie, tu błyskały brylantowe djademy i panował zapach perfum wprost odurzający.

Pałac bogatego Sulliwana wspanialej był urządzony od pałacu niejednego cesarza lub króla, a sam bogacz nosił nazwę „księcia Filadelfji".

W tej chwili witał on właśnie senatora Wooda, wchodzącego wraz z pułkownikiem Wilsonem. Pułkownik Wilson był to bardzo piękny mężczyzna, jednak w jego twarzy i oczach było coś bardzo odrażającego. Miał na sobie mundur czerwony.

— Będziesz pan miał sposobność, panie pułkowniku, posłyszeć na moich salonach dzisiaj słynną Oldenburg, — rzekł, — czyś pan już słyszał tę fenomenalną śpiewaczkę?

Wilson zaprzeczył z chłodnym uśmiechem.

— W takim razie cieszę się już naprzód na wrażenie, jakie ta „gwiazda" wywrze na panu, — ciągnął Sulliwan dalej.

W tejże chwili przybył służący i oznajmił o przybyciu miss Oldenburg.

Sulliwan podążył natychmiast do niej.

Kapela w wielkiej sali umilkła, a zaraz w salonie koncertowym zajął miejsce śpiewak operowy, który wykonał kilka brawurowych arji.

Po krótkiej przerwie zaśpiewała Iza.

W głębokiej ciszy i skupieniu słuchali wszycsy jej pieśni.

Zaledwie Wilson posłyszał pieśń i głos śpiewającej, kiedy drgnął nagle i wsłuchał się w nie jak zelektryzowany.

Przyjrzał się jej, — jakiś osobliwy błysk zaświecił w jego oczach, — ręce jego drżały.

Zebrani wynagrodzili śpiewaczkę burzą oklasków, skoro pieśń swą skończyła.

Zarumieniona, ze skromnie opuszczonemi oczyma, kłaniała się, dziękując.

Następnie zajęła sama u fortepianu miejsce i akompaniując sobie, zaśpiewała inną znów pieśń.

Wszyscy cisnęli się, aby złożyć hołd śpiewaczce.

— Pozwól pani sobie, miss Oldenburg, przedstawić pana pułkownika Wilson, — rzekł senator, — aby mógł wyrazić pani swój podziw.

Iza podniosła oczy.

Pułkownik skłonił się przed nią głęboko.

— Szanowna miss, — rzekł, — święci tu pani bezprzestanne trjumfy, jak widzę. Czy obecnością swoją nie zechce pani zaszczycić także i południowych Stanów?

— Pan pułkownik, trzeba pani wiedzieć, stoi w New-Orleanie, objaśnił Wood.

Na te słowa odetchnęła lżej Iza, która uczuła nieprzeparty wstręt do pułkownika.

— Sir, odpowiedziała, — czy mnie droga moja tak daleko zaprowadzi, tego dziś jeszcze nie wiem. Nie jeżdżę po świecie na to, aby się dać słyszeć.

— A więc ma pani inne jeszcze cele, miss Oldenburg? — spytał pułkownik.



Iza zaśpiewała.

Ciekąwość ta spowodowała jeszcze większą odrazę Izy do pułkownika, a zarazem jakiś paniczny strach.

To też odpowiedziała zimno, że chyba z tego usprawiedliwiać się nie ma potrzeby, przebywa tu, gdzie jej się podoba, a w jakim celu, to już jest jej sprawa.

Pułkownik zaczął się usprawiedliwiać i przepraszać, że swoją ciekawością nie chciał jej obrazić, ale Iza słowa więcej nie odpowiedziała i zwróciła się do Sulliwana, który przybliżył się właśnie z hrabią Girardi.

Wilson odsunął się w inną stronę.

— Mój mylordzie, — zwrócił się hrabia Girardi do Sulliwana, kto jest ten oficer, który teraz odszedł?

— Pułkownik Wilson.

— Czy ten pułkownik stoi tu w Filadelfji? Czy znasz go pan od dłuższego czasu?

— Od dwóch dni.

— A jakim sposobem dostał się na pańskie salony?

— Senator Wood go wprowadził.

— Czy nie zechciałby mnie pan zapoznać z tym pułkownikiem Wilson? Czy wiesz pan, do kogo ten pułkownik bajecznie jest podobny?

Sulliwan spojrzał pytająco na hrabiego.

— Pan wie, że ja jestem cokolwiek dziwakiem, i że w podróżach moich, zawsze mam osobliwe cele na oku, — ciągnął Girardi dalej, — tak naprzykład zajmuję się między innemi niezwykłemi zbrodniami, niezwykłemi osobistościami, bez względu na to, czy to są niezwykłe osoby w dodatniem czy ujemnem znaczeniu, tak przeto oglądałem w Nowym Jorku z wielkiem zajęciem portret owego Johna Goulda, który zamordował miljonera Smitha...

— Przypominam sobie tę okropną zbrodnię, — nie wiem jednak, co ma z tym wspólnego pułkownik Wilson, — odrzekł Sulliwan.

— Znajduję szczególne podobieństwo między owym oficerem i portretem Johna Gould, odparł Girardi.

— I dlatego zaciekawia pana ten oficer? Oryginalne! Jak zresztą wszystko w panu, panie hrabio! — uśmiechnął się Sulliwan. Przedstawię panu Wilsona bardzo chętnie, proszę jednak uważać, aby go czem nie zadrasnąć, bo to jest człowiek bardzo wrażliwy

— Bądź pan spokojny, mylordzie, — zapewnił hrabia z zimnym uśmiechem niezmiernej swej, jakby w bronzie wykutej twarzy, — nie obawiaj się pan żadnej sceny.

Panowie weszli obydwaj pod rękę i zbliżyli się do Wilsona. Przedstawienie nie zajęło wiele czasu. Sulliwan pozostawił obu panów i oddalił się.

— Pan tu w sprawach służbowych bawi w Filadelfji, panie pułkowniku? — spytał hrabia od niechcenia.

— To nie, panie hrabio, — odpowiedział Wilson, odbywam podróż dla przyjemności. Otrzymałem półroczny urlop, ponieważ chorowałem ciężko na żółtą febrę.

— Czy nie ma pan krewnych w Nowym Jorku? Czy nie jest pan czasem spokrewniony z rodziną Gouldów?

— Nie, panie hrabio, nie znam żadnej rodziny tego nazwiska, wogóle tutaj w Stanach północnych nie mam nikogo z rodziny, — oświadczył Wilson.

Słowa te wypowiedział najzupełniej spokojnie, tak, że hrabia nie mógł już dalej prowadzić rozmowy w tym kierunku.

Wkrótce zaś, kiedy rozpoczęły się tańce, Wilson nagle zniknął od jego boku, jako zamiłowany widocznie tancerz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Śladem ojców.

Rok 1920.

Cudne promienie zachodzącego słońca okryły czerwienią miejsce niedawnych śmiertelnych zapasów. Wojska polskie pod dowództwem majora, następując na cofających się od Kamieńca Litew. bolszewików, osaczyły cofający się ich oddział w lasach czuchowskich, w Pińszczyźnie. Liczny oddział bolszewicki daremnie próbował przebić się atakiem przez zaciskającą się obręcz wojsk polskich. Padło wprawdzie siedmnastu polskich żołnierzy, lecz trupy wrogów w liczbie stu kilkudziesięciu pokryły piaski i moczary, na których rozegrała się bitwa. Resztki rozbitego oddziału uratowały swe życie — poddaniem się.

Dowódca polski otrzymał rozkaz odpocząć w najbliższej wsi. Ruszyło więc wojsko polskie w stronę, o kilka kilometrów odległej wioski. Jak daleko wzrok sięgnął widać było tylko obszary piachów, moc błota, wody i lasy, a wśród nich rzadko, jak ptasie gniazdka ukryte wśród traw, rozmieszczone były wsi. Uprawne pola były otoczone deskami na wysokość 2—3 m. dla ochrony przed szkodnikami. Przez środek wsi prowadziła szeroka droga, a po jednej i drugiej jej stronie rzędami stały domy, jeden przy drugim. Zupełnie nie było koło domów drzew owocowych. Dla majora przygotowano domek okazalszy i czysto wyglądający. Gospodarz domu, Michał Bogadko z widoczną i niekłamaną radością powitał swoich gości, a kłaniając się oficerom, opowiedział, że w okolicy, w której pobili

w dniu dzisiejszym wrogów, przed pięćdziesięciu kilku laty stoczono również bitwę.

Wojska moskiewskie rozbiły tam oddział powstańców polskich (w r. 1863), a samego naczelnika powstańców męczyli' a następnie zarąbali. Towarzysze broni zauważyli silne wzruszenie majora. Zapytał on gospodarza Michała, skąd wie o stoczonej w tych okolicach bitwie, i czy nie słyszał coś więcej o zamordowanym naczelniku?

Michał opowiedział, że ojciec jego służył długie lata u państwa Zarembów, brał udział w kilku bitwach, następnie zaś pan Kazimierz Zaremba polecił mu służyć swej żonie, Zofji i przeprowadzić ją w razie jego śmierci do jej ojca w Lubelszczyźnie. Polecenie swego pana stary Bogatko spełnił, a za otrzymane od ojca pani Zofji pieniądze, kupił sobie ziemię blisko grobu swojego kochanego pana, by mógł częściej jego przez innych odwiedzany grób, poprawiać i czcić.

Major zabrał Michała do swej izby.

Państwo Zarembowie mieli swe posiadłości w okolicach Kamieńca Litew., opowiadał dalej Michał. Przed wojną w r. 1863 sąsiad ich zaprosił Zarembów do siebie. Na tem przyjęciu był również dowódca wojska moskiewskiego, Czyczagow. W pewnej chwili Moskal, odurzony może piciem, zbliżył się z ukłonem do młodej i pięknej Zarembowej, a zanim ona miała czas się zorjentować, objął przerażoną i ucałował w twarz. Dwa silne policzki były odpowiedzią Polki na niespodziewane umizgi Moskala. Czyczagow oprzytomniał i przysięgając rychłą, a straszną zemstę, odjechał.

Wkrótce wybuchło powstanie przeciw Moskalom. Pan Zaremba, zwany „Orłem", został dowódcą oddziału powstańców w tych okolicach i zadał Moskalom kilka dotkliwych klęsk. Pewnej nocy zawiadomiono go, że Moskale napadli na jego mieszkanie. Jak mógł najprędzej ruszył przeciw wrogom. Niespodziewających się napadu wrogów rozgromił łatwo i zupełnie, ze zgrozą zaś dowiedział się, że Moskalami dowodził Czyczagow. Czyczagowa wkrótce znaleźli powstańcy. Zofja opowiedziała mężowi, wskazując na strzelbę przy niej stojącą, że nią uratowała swą cześć. Przysięgła bowiem, chcąc powstrzymać Czyczagowa oświadczającego jej swą miłość, że jeśli się do niej zbliży, sama pozbawi się życia. Moskale prawdopodobnie chcieli ją za wszelką cenę dostać żywą w swe ręce, by następnie podstępnymi układami dostać i Kazimierza. Orzeł kazał Czyczagowa dobrze obatożyć za napad na bezbronną kobietę, lecz puścił go wolno.

Po kilku jeszcze potyczkach Orzeł musiał się cofać, wreszcie raniony dostał się w ręce Czyczagowa. Okrutnik chciał mękami wymusić od Kazimierza tajemnicę pobytu Zofji, by nasycić swą dziką zemstę ich mękami. Kazimierz milczał bohatersko, a gdy Czyczagow zbliżył się ku niemu, napluł mu w twarz. Moskal wyprowadzony z równowagi jednem cięciem szabli zakończył męki bohaterskiego dowódcy powstańców. Śmierć „Orła" i klęskę powstańców pomścił wkrótce Romuald Traugutt, który walczył z powodzeniem w tych stronach. Czyczagow skończył swe życie na gałęzi.

Pani Zarembowa z synkiem Wiktorem dostała się z pomocą wiernego sługi, a ojca Michała do swojego ojca, a następnie do Krakowa, gdzie panicz Wiktor został profesorem.

„A który teraz cię słucha i siedzi przy tobie, synu wiernego naszego sługi i przyjaciela" — ściskając mu dłoń, rzekł major Wiktor Zaremba. Zdziwiony gospodarz dłuższy czas na majora spoglądał, następnie zaś padł mu rozczulony do nóg, lecz natychmiast major podniósł go i uściskał.

Po dwóch miesiącach przyjechała matka majora na grób ukochanego męża, gdzie też wkrótce stanął duży, żelazny krzyż z napisem: „Bohaterom polskim padłym w walkach za Ojczyznę w r. 1863 i w 1920 r. w dowód wielkiej czci wznieśli — rodacy".

Jan Pelczar.



Poradnik gospodarczy.

O gromadzeniu i przechowywaniu nawozu.

(Dokończenie).

Sposobu tego używać mogą jednakże tylko ci, którzy mają obszerne i głębokie stajnie z żłobami urządzonemi do przenoszenia, a przynajmniej do podnoszenia. Jest wtenczas rzeczą najodpowiedniejszą, że bydło chodzi sobie luzem po stajni, co głównie u młodocianego z łatwością da się przeprowadzić. Jeśli bydło bywa wiązane przy żłobach, trzeba gnój w pewnych odstępach czasu ściągać i po całej stajni równać.

Gdzie budynków tak obszernych i głębokich nie ma, tam trzeba nawóz na gnojownię wyrzucać. Gnojownia powinna wtenczas być wybrukowaną, albo betonowaną, powinna mieć do środka albo w jeden koniec spad, aby w najniższem miejscu, dokąd ścieka zbytnia gnojówka, urządzić dla niej studnię, a w razie potrzeby nawóz gnojówką polewać. Brzegi gnojowni powinny być wywyższone nieco, aby woda z dachów lub z podwórca do gnojowni zlatywać i gnoju wypławiać nie mogła. Dobrą jest także rzeczą dać dach nad gnojownią, aby słońce nie wysuszało zbytnio nawozu. Gnój można wyrzucać albo codziennie, albo co tydzień, należy go natychmiast równo na gnojowni rozpostrzeć i mocno udeptać. Dzieje się to jeśli parę albo więcej sztuk bydła tak długo po gnojowni oprowadzamy, aż wyrzucony nawóz mocno się ubije, albo jeśli gnojownię ogrodzimy i tam bydło luźno wpędzamy. Nawóz bowiem nie ubity mocno, lecz luźno leżący, szybko wysycha, pali się za szybko i ulatnia w powietrze, przez co bardzo wielkie straty ponosimy. Ażeby gnój w stanie odpowiedniej wilgoci, a przez to i w normalnem stadjum gnicia utrzymać, trzeba go w razie potrzeby uzbieraną w studni gnojówką podlewać. Polecenia godną jest także rzeczą, aby mieć przy gnojowni zapas ziemi torfowej lub innej i z takową każdą szychtę wyrzuconego gnoju cienko przyrzucać. Ziemia ta chwyta i wiąże wytwarzające się przy gniciu gnoju gazy, które inaczej w powietrze ulatują i giną.

Wielkie marnotrawstwo nawozu uprawia się także przez pozostawianie go przez dłuższy czas po wywiezieniu, czasami przez całą zimę, w kupkach, co jeszcze bardzo często tak po większych, jak i po mniejszych gospodarstwach spotykać można. Leżąc tu w luźnych kupach ulega szybko gniciu, czy paleniu się, tak że często tylko połowa masy nawozowej dostaje się do ziemi, a wytwory powstające z gnicia nawozu, tj. gazy użyźniające, lecą sobie swobodnie w powietrze. Deszcze ługują z słomy odchody zwierzęce i powodują albo wybujałe kępy zboża w tych

miejscach, gdzie leżały kupki gnoju, albo odprowadzają je, zwłaszcza na pochyłych polach, w dalsze strony, tak, że rolnik przyoruje zaledwie połowę wywiezionego w pole gnoju i to gnoju bez wielkiej wartości. Jest to zatem karygodne marnotrawstwo owej podstawy pomyślności całego gospodarstwa, pochodzące albo z nieświadomości obchodzenia się z nawozem, albo z niczem nieusprawiedliwionego lenistwa gospodarza!

Dobry gospodarz rozrzuca gnój zaraz za wozem i przyoruje go jak najprędzej. Jeśli go zaś wywozi zimową porą, gdzie go zaraz przyorać nie może, to go przynajmniej rozrzuca, aby ziemia gazy wytwarzające się przy gniciu zaraz wciągnąć mogła, a jeśli pole jest mocno pochyłe i należałoby się obawiać spłukania gnoju, to składa się go we wielkie kupy, udeptuje mocno i obrzuca ziemią.

Nie marnujmy zatem materjałów mogących pomnożyć znacznie zapas naszego nawozu, rozrzucając je po zapłociach, drogach, miedzach i nad rowami, a urabiajmy i przechowujmy należycie gnój nasz, bo gospodarz, który stara się zresztą usilnie o pomnożenie swego majątku, a w taki sposób obchodzi się z nawozem, jest podobny do tego, który w pocie czoła ubiega się za groszem, a dziurawą kieszenią gubi złote.

Wł. Wąsowicz.

Wczesne ziemniaki.

Niejeden z naszych Czytelników chciałby mieć jak najwcześniejsze ziemniaki. Sposób, aby je uzyskać podajemy poniżej za jedną z gazet rolniczych. Czy jest dobry, warto spróbować.

Aby mieć ziemniaki bardzo wczesne, w lutym lub początkach marca pewną ilość sadzeniaków z odmian wcześnie dojrzewających, np. amerykanów, układa się w kuchni lub innej ciepłej izbie przy oknach, na specjalnie w tym celu przygotowanych deskach, leżących lub zawieszonych w ten sposób, by światło słoneczne na nie padało. Ziemniaki układa się jeden koło drugiego, wystrzegając się kładzenia kłębów na kupę. Ułożone luźno i oświetlone słońcem kłęby wkrótce w ciepłej izbie wypuszczą kiełki. Kiełki te będą zielone i grube, nie takie, jak w piwnicy, gdzie wskutek braku światła bywają blade, nikłe, cienkie i pędzą w górę (w poszukiwaniu światła). Takie rozkiełkowane ziemniaki należy do czasu sadzenia pozostawić w spokoju. W początku kwietnia, gdy już gleba odmarznie i obeschnie, w miejscu zacisznem, nie narażonem na wielkie wiatry i przymrozki wysadzić należy ziemniaki, najlepiej w kratkę 20×22 cale. Aby je zabezpieczyć od mrozu w celu lepszego ogrzania ziemi, należy pole przykryć słomiastym nawozem. Przy sadzeniu uważać trzeba, by kiełki nie zostały połamane, a ziemniaki były sadzone kiełkami do góry. Po 10—15 dniach, zależnie od ciepła i pogody, ziemniaki zwykle wschodzą. O ile zachodzi jeszcze obawa o mogące nastąpić przymrozki, należy powłokę z obornika na powierzchni ziemi utrzymać, by pod okrywą nawozową dalej się rozwijały. A dopiero gdy minie obawa zamrożenia, należy rośliny obsypać, kopać, pozostawić nawóz słomiasty w bróździach, by nadal służył jako ochrona przed zbytniem przesychaniem roli. Po okopaniu ziemniaków może się zdarzyć, szczególnie nocami, że nać ziemniaczana od przymrozków może ucierpieć, coby mogło wpłynąć na opóźnienie rozwoju rośliny, przeto spodziewając się przymrozku wieczorem, należy plantację przyprószyć zlekka ową pozostałą słomą, zgarniając ją jednak po przejściu niebezpieczeństwa ostrożnie, by nie połamać łodyg. Gdy się ziemniaki rozrosną, należy je obsypać powtórnie.

W końcu maja przy sprzyjających warunkach, lub w początkach czerwca, ziemniaki pod krzakiem już o tyle wyrosną, że są zdatne do podbierania. W tym czasie cena młodych ziemniaków bywa na rynkach miejskich dość wysoką, przeto i zabiegi ku otrzymaniu ziemniaków w jak najwcześniejszej porze sowicie się opłaca. Dodać należy, że stanowisko dla ziemniaków sadzonych wyżej wskazanym sposobem powinno wypaść na ziemi czystej, nawiezionej na zimę obornikiem, albo na glebach żyznych, lub o starej sile nawozowej. Dodatek nawozów sztucznych w postaci 1 i pół cm. superfosfatu i 1 i pół cm. soli potasowej w stosunku morga 300-prętowego przed sadzeniem lub pierwszem okopaniem, wpłynąłby bardzo dodatnio na rozwój rośliny.

Po wykopaniu ziemniaków pole to nadaje się jeszcze pod flancowane buraki pastewne, mieszanki roślin strączkowych, fasolę itp.

Po zebraniu mieszanek i po nawiezieniu pola nawozami pomocniczemi możemy jeszcze zasiać oziminę, która w sprzyjających warunkach nieźle wyrosnąć zdąży.

Cud w komisji poborowej.

Przed komisją poborową m. Łomży, stawił się obywatel Josek Cyrankier wraz z wezwanym do wojska synem swoim Abramem.

Oficer przyjmujący poprawił binokle na nosie, zmierzył okiem znawcy wartość bojową przyszłego żołnierza, lekarze zaczęli go oglądać z przodu i z tyłu, z boku, z dołu do góry, i od góry do dołu. Pierś dobrze rozwinięta, w twarzy i oczach maluje się spryt, tylko nos trochę zanadto zakrzywiony, ale przecież i szable bywają krzywe, a to nic w boju nie przeszkadza.

— Zdatny do wojska — orzekli jednogłośnie.

— Za przeproszeniem jaśnie panowie — odezwał się wtedy tate Cyrankier, wyjmując z zanadrza jakiś zatłuszczony papier — mój syn Abram jest bardzo biedny nieborak. On jest głuchoniemy od urodzenia przez tego, co matka się przelękła. Tu jest dowód, że z miasteczka Śmiadowa, od gminie starozakonne, wypisany akurat, co Abram głuchoniemy jest.

Przewodniczący komisji wziął do ręki papier i podczas gdy go odcyfrowywał, oficer przyjmujący szepnął coś do ucha kapralowi Jankowi, ten porozumiał się ze starszym żołnierzem Pietrkiem i stała się rzecz zwyczajna w istocie, — choć nadzwyczajna w skutkach.

Kapral Janek grzmotnął znienacka w kark popisowego, starszy żołnierz poprawił, a przestraszony żydek wykrzyknął:

— Aj, waj, gewałt!

Korzystając z tej chwili oficer przyjmujący, zapytał nagle Abrama:

— Jak się nazywasz?

— Abram Cyrankier — odparł głuchoniemy.

Komisja wybuchnęła śmiechem, a skonfundowany tate Cyrankier rzekł płaczliwym głosem:

— Tutaj zrobił się cud i ja jestem bardzo kontentny, co mój głuchoniemy Abram przemówił. Tylko jabym nie chciał, żeby jak on będzie w kasarniach, z nim tam się jeszcze takie różne cudy zdarzały.

KRONIKA.

Czy Polsce grozi nieurodzaj? W związku z długotrwałą zimą istnieje obawa, że w większości obszarów rolnych Europy zachodniej wymarzną jesienne zasiewy pszenicy. Angielskie bowiem gatunki pszenicy używane przez rolnictwo tych krajów są mało odporne na mrozy. W Niemczech n. p. zapowiadają już klęskę nieurodzaju pszenicy. W Polsce przedstawia się rzecz inaczej. Kompetentne sfery rolnicze informują, że ziarno polskich gatunków jest bardzo wytrzymałe na mróz i nie powinniśmy żywić żadnych obaw o możliwość nieurodzaju. Ale zbiorów pszenicy nigdy nam nie wystarczało nawet na potrzeby własne. Sprowadzaliśmy ją zawsze z zagranicy. A zatem w razie nieurodzaju europejskiego na rynkach naszych da się odczuć dość dotkliwie drożyzna tego zboża. Długotrwałe mrozy wyrządziły natomiast silne szkody w naszym drzewostanie owocowym. Ucierpiały więc przedewszystkiem brzoskwinie na południu i czereśnie na całym prawie obszarze państwa, mróz odbił się również na jabłoniach i gruszach, gdyż wiele z nich, szczególniej przy braku zabezpieczenia, popękało od mrozu.

Werbunek emigrantów do Brazylji. Jak donoszą gazety warszawskie, ministrowie reform rolnych, pracy i opieki społecznej, oraz spraw zagranicznych podpisywali zezwolenie na rozpoczęcie przez Towarzyrzystwo kolonizacyjne w Warszawie werbunku wśród ludności wiejskiej emigrantów-kolonistów do stanu Espirito Santo w Brazylji. Towarzystwo kolonizacyjne, po załatwieniu różnych formalności, wkrótce ma zamiar przystąpić do werbunku, tak, aby w ciągu najbliższych kilku miesięcy wysłać pierwszą partję polskich kolonistów.

Przyjazd Polaków z Ameryki. Na powszechną Wystawę krajową, jaka będzie otwarta w lecie bieżącego roku w Poznaniu, wybiera się około 30 tysięcy Polaków z Ameryki. Rodacy nasi zwiedzą przytem większe miasta polskie jak Warszawa, Poznań, Kraków, Częstochowa, Lwów, Wilno, Bydgoszcz, Toruń, Gniezno, Zakopane i Gdynia. Pozatem zapewne pojedynczo odwiedzą też swych krewnych, rozrzuconych po całej Polsce, może więc niejeden z naszych Czytelników zobaczy w swym domu krewniaka, którego czas dłuższy nie widział.

Wytrzymałość lodu. W okresie fali mrozu, jaka nawiedziła w tym roku Europę, jednym z ważniejszych zagdniaeń dnia są środki komunikacyjne, jakich dostarczyły zamarznięte rzeki, jeziora i stawy. Pod tym względem doskonale przysłużyły się ogółowi doświadczenia poczynione przed paru laty przez francuskie ministerstwo wojny w celu ustalenia wytrzymałości powłoki lodu przy transportach wojskowych. Okazało się, że przy grubości 4 cm. osiąga lód możność utrzymania na swej powierzchni człowieka średniej wielkości. Skoro tafla lodu jest 9 cm. gruba, można przez nią przepuścić kompanję piechoty do ataku, a przy grubości 12 cm. wytrzymuje ona już przejazd małej armaty na sankach. Ciężkie działa mogą natomiast po lodzie 14 cm. grubym przejeżdżać zupełnie bezpiecznie, a po 16 cm. lodzie zdołają przejechać nawet najcięższe rodzaje armat wraz z całym zaprzęgiem i amunicją.

Zemsta narzeczonej. Pod koniec karnawału miał się odbyć we wsi Ptaszkowej ślub Stefana Janusia z dziewczyną z tej samej wsi. Gdy orszak ślubny zbliżał się do ołtarza, z tłumu wyskoczyła młoda kobieta Anna Sentyczówna i wyjąwszy z pod chustki ukryty tasak, porąbała nim pana młodego. Ślub został wstrzymany, a kościół zamknięty. Przytrzymana przez policję Sentyczówna zeznała, że Januś był jej narzeczonym, który ją uwiódł. Z zemsty napadła na Janusia. Kościół po ponownem poświęceniu został znów otwarty. Januś przebywa w szpitalu.

Fałszywa hrabina w klasztorze. Przy ulicy Sieniawskich we Lwowie znajduje się klasztor Sióstr Służebniczek. Przed dwoma tygodniami przybyła do tego klasztoru młoda kobieta i przedstawiła się jako hrabina Iżykowska, prosząc o schronienie dla siebie i przyrzekając za swe utrzymanie miesięcznie płacić. Przytem podała, że krewni prowadzą z nią proces o majątek, chcąc go jej odebrać, a nadto przyrzekła wkrótce na rzecz klasztoru uczynić zapis z części swego majątku. Przełożona klasztoru rzekomą hrabinę chętnie przyjęła. Przez dwa tygodnie hrabina Iżykowska siedziała w klasztorze, odmawiała wraz z zakonnicami wspólne modły, przyczem oczekiwała przyjazdu swego zastępcy prawnego. Równocześnie jednak policja za „hrabiną" Iżykowską czyniła poszukiwania, gdyż jest to znana oszustka, Aniela Cholewa, żona b. posterunkowego policji państwowej, który ją porzucił i wyjechał do Francji. Pozostając bez środków do życia, Cholewa puściła się na drogę oszustw i grasuje po całej Polsce, a z różnych miast sądy poszukują ją za cały szereg przestępstw. Policja, dowiedziawszy się, że Cholewa przyjechała do Lwowa i przebywa we wspomnianym klasztorze, wysłała tam policjanta, który sprowadził ją do biura, gdzie ją przyaresztowano.

Wilki pod Lwowem. Jak donoszą ze Lwowa, gajowy lwowskich lasów miejskich, Mikołaj Czapran, w lesie pomiędzy Kleparowom a Rzęsną Polską został napadnięty przez stado wilków, złożone z 17 sztuk. Gajowy opędzał się przez chwilę, poczem rozpalił ognisko, skutkiem czego wilki umknęły w kierunku lasów brzuchowickich. O wilkach tych donosiliśmy już w poprzednim numerze „Roli".

Przeczucie śmierci. Nieraz zdarza się, że człowiek nawet zdrów zupełnie przeczuje wcześniej śmierć swoją i do niej się należycie przygotuje. O dwóch takich wypadkach donoszą gazety codzienne. Oto w Warszawie w kościele św. Antoniego zaszedł podobny wypadek, a mianowicie do zakrystji przyszedl nieznany staruszek, który wyspowiadał się i po przyjęciu Komunji św. prosił o udzielenie mu Olejów św. Gdy go zapytano o powód, oświadczył, że ma przeczucie, iż dziś życie zakończy. Kapłan wysłuchał prośby i namaścił starca, który udał się przed ołtarz i wysłuchał Mszy św. Wychodząc z kościoła, gdy przeżegnał się wodą święconą, w przedsionku padł nagle bez życia. A oto drugi wypadek: W wiosce koło Mysłowic wezwano księdza do chorego. Gdy ksiądz wszedł do izby i zastał staruszka klęczącego i modlącego się z dużego modlitewnika, zapytał go, gdzie jest chory. Staruszek wstał i powiedział: „To ja będę umierał, proszę mnie zaopatrzyć!" Ksiądz zrazu zadziwił się, ale zadosyć uczynił woli starca. Po przyjęciu ostatnich sakramentów starowina wyjął z pod poduszki woreczek i zaczął księdzu dyktować zapisy na dobre cele i na Msze św. za swą duszę i za zmarłą rodzinę. Gdy ksiądz odszedł, dopędzono go jeszcze na drodre, prosząc na pogrzeb, bo zaopatrzony już nie żył.

Podwójne życie. Ludność Częstochowy z ogromnem zainteresowaniem śledzi przebieg śledztwa, które prowadzą władze przeciwko sprawcy niezliczonych kradzieży. Już od całego szeregu miesięcy obywatele miejscowi i okoliczni drżeli o swoje mienie, gdyż rzekoma banda przestępców dokonywała coraz to nowych włamań. Nareszcie udało się zdemaskować niejakiego Kazimierza Wojnowskiego i wtedy okazało się, że nie szaj-

ka dopuszczała się tych zbrodni, ale jeden człowiek, w dodatku obywatel, cieszący się ogólnem uznaniem i poważaniem. Kazimierz Wojnowski, z zawodu kowal, żonaty, był właścicielem kilku autobusów i wiódł spokojny napozór żywot. Nocą jednak poczciwy obywatel przemieniał się w awanturnika. Wyjeżdżał z Przedborza, gdzie stale mieszkał, do pobliskiej Częstochowy i tam dokonywał włamań do mieszkań prywatnych, oraz kas spółdzielczych. Jako kowal znał konstrukcję zamków, a odwagi mu nie brakowało. Łupem jego padały częstokroć bardzo drogocenne rzeczy, które przestępca gromadził w kryjówkach, by potem przedmioty te spieniężyć. Gotówkę składał. Autobusy swoje zakupił za kradzione pieniądze. Wojnowski miał w Częstochowie zorganizowany cały sztab wywiadowców, których zadaniem było wyszukiwanie odpowiednich mieszkań i biur, do których wartoby się włamać. Obecnie Wojnowski wraz z całym swoim sztabem się „wsypał i w areszcie śledczym oczekuje rozprawy.

Ucieczka przemytników i szpiegów. Z Białegostoku donoszą o krwawej walce, jaką stoczyła policja z groźną bandą przemytników, którzy przeprowadzali przez zieloną granicę konie z Polski do Rosji sowieckiej. Banda ta, jak stwierdzono, trudniła się również szpiegostwem na rzecz sowietów. Po kilkugodzinnej wymianie strzałów ujęto dwóch członków bandy: Aleksandra Wróblewskiego i Zygmunta Kundzierę. Schwytanych bandytów okuto w kajdany i wieziono pociągiem do Białegostoku. W drodze bandyci skorzystali z nieuwagi posterunkowych i zdołali uwolnić się z kajdan. W tej chwili ocknęli się posterunkowi z drzemki i chcieli ubezwładnić bandytów, ci jednakowoż, jakkolwiek pociąg szedł całą parą, wyskoczyli na nasyp i chcieli ratować się ucieczką do najbliższej wsi. Pociąg natychmiast zatrzymano, posterunkowi corychlej wyskoczyli na tor i w towarzystwie kilku pasażerów pociągu rozpoczęli energiczny pościg za zbiegłymi drabami. Gdy pomimo wezwania zatrzymania się bandyci w dalszym ciągu uciekali, rozpoczęto ogień karabinowy. Bandyta Wróblewski ugodzony kulą padł ranny na śnieg. Natomiast jego towarzyszowi udało się zbiec i dopiero następnego dnia został on schwytany w czasie przeprowadzonej obławy. Wróblewski umarł niebawem z odniesionych ran.

Katastrofa samochodowa. W Budapeszcie na skrzyżowaniu ulic zdarzyła się straszna katastrofa samochodowa. Ambulans Pogotowia ratunkowego zderzył się z tramwajem. Skutek zderzenia był straszny. 5 osób poniosło bardzo ciężkie obrażenia cielesne i walczy ze śmiercią. Cały szereg osób jest lżej rannych. Zarówno tramwaj jak i samochód są bardzo poważnie uszkodzone. Jak się okazało szofer karetki Pogotowia był pijany.

Ucieczka żon. Władze niemieckie pocą się obecnie nad rozwikłaniem oryginalnej sprawy, której początek sięga czasów wielkiej wojny. W roku 1916 w Zgorzelicach (Görlitz) na Śląsku niemieckim mieścił się obóz internowanych 300 oficerów i 6.000 żołnierzy armji greckiej. Wielu Greków pobrało za żony miejscowe Niemki, które po zakończeniu wojny wyjechały ze swoimi mężami do Grecji. W ciągu ostatnich dwu lat prawie wszystkie te Niemki, które przez swoje małżeństwo stały się obywatelkami greckiemi, uciekły od mężów i wróciły do Niemiec, gdyż nie mogły przyzwyczaić się do warunków bytowania w Grecji. Powstała stąd olbrzymia ilość procesów rozwodowych i wyłoniły się różne komplikacje prawne, które obecnie muszą likwidować władze niemieckie. Charakterystycznem jest, że ani jeden Grek nie poczuł tęsknoty za swoją żoną i ani jeden nie wyjechał za nią do Niemiec.

Narowisty koń i złośliwy Niemiec. Syn pewnego bogatszego gospodarza Niemca pod Dreznem wiózł zboże do młyna. Koń, który widocznie także miał swoje kaprysy, nie chciał ciągnąć naładowanego wozu i żadną miarą nie dał się nakłonić do ruszenia z miejsca.



Wówczas Niemiec wpadł na złośliwy pomysł i rozpalił pod koniem ogień. Skutek był taki, że cały wóz wraz ze zbożem spłonął, koń zaś zbiegł do domu.

Niezwykłe wypadki. Donoszą z Serajewa, że niedaleko stacji Nemila oberwała się skała i spadła na wagon pocztowy pociągu pospiesznego Brody-Serajewo. Wagon uległ częściowemu zniszczeniu Podobny wypadek zdarzył się również na linji Mostar-Raguza.

Ośm dni wśród wilków. Pospieszny pociąg bałkański, t. zw. Simplon-Orient-Express, posiadał bardzo licznych pasażerów, którzy jechali na Bałkan i do Konstantynopola. Wśród pasażerów znajdowali się dwaj kurjerzy dyplomatyczni i angielski nadkomisarz Iraku, lord Clayton. Mimo śniegów i mrozów pociąg dotarł z małemi przeszkodami do stolicy Bułgarji, Sofji. Tutaj wsiedli jeszcze pasażerowie bułgarscy i pociąg ruszył w dalszą drogę. Już w czasie przebywania terytorjum Bułgarji natrafiał pociąg na olbrzymie zaspy śnieżne, które zdołał jednak przebyć i dotrzeć do granicy Turcji. Po objęciu pociągu przez turecki personal kolejowy pociąg ruszył w dalszą drogę, ale koło stacji Konleli-Bourgas natknął się na olbrzymie góry śniegu, które uniemożliwiły dalszą podróż. Śnieg leżał tutaj na wysokość 5 metrów. Ponieważ śnieg padał dalej, a powrót do opuszczonej stacji był niemożliwy, pociąg stał dalej w czystem polu. Śnieg sypał tymczasem dalej, termometr wskazywał 27 stopni. Lokomotywa pociągu stała ciągle pod parą, ogrzewając wagony, w wagonie jadalnym znajdowały się jeszcze zapasy żywności. Kierownik pociągu usiłował porozumieć się z najbliższemi stacjami, ale wszystkie jego wysiłki spełzły na niczem, ponieważ druty telefoniczne były zerwane przez burzę śniegową, a z powodu olbrzymich zasp żaden człowiek nie mógł ruszyć w drogę pieszo do dość odległej stacji. W końcu nastał zmierzch wieczorny i zapadła noc. Ze względu na konieczność zaoszczędzenia opału, zgromadzono wszystkich pasażerów w dwu wozach sypialnych, a do reszty odcięto dopływ pary z lokomotywy. Pasażerowie spędzali czas, jak mogli. Rozmawiali, śpiewali, bawili się. Niektóre kobiety położyły się spać. Nagle wśród nocy rozległ się głos kobiety: „Wilki!“ I istotnie ukazała się groźna gromada wilków, złożona z trzydziestu kilku bestyj, która zataczała wielkie kręgi i zbliżała się do pociągu. Wśród pasażerów powstał popłoch. Rzucono się do obrony, chwytając za siekiery. Wilki zbliżyły się do samego pociągu i rozpoczęły atak, uderzając głowami o szyby. Rozległy się strzały, zgraja cofnęła się, ale za chwilę przypuściła znów jeszcze zacieklejszy atak, któ-

ry znowu odparto. Walka z wilkami trwała aż do rana. Gdy się rozwidniało na placu boju leżały trzy wspaniałe bestje, na śniegu w kałuży krwi. Strzały do wilków wywołały jednak pożądany skutek. Usłyszano je na najbliższej stacji która przysłała pomoc na sankach. Ale o odgrzebaniu pociągu i dalszej jeździe nie było mowy. Przez 8 dni pociąg stał w śniegu, dopóki personal turecki nie oczyścił zupełnie toru. Przez te wszystkie nocy pasażerowie pociągu wraz z personalem kolejowym staczali walki z wilkami, które wracały systematycznie każdej nocy, atakując zażarcie pociąg. Wkońcu zdołano oczyścić tor i pociąg ruszył do najbliższej stacji, a stamtąd do miasta portowego, skąd już parowiec zawiózł pasażerów zasypanego pociągu do Konstantynopola. Niektórzy z nich ponieśli wskutek 8 dniowego spóźnienia ogromne straty i zaskarżyli rząd turecki o odszkodowanie.

Moteorolog rosyjski o ostrych zimach. Znany meteorolog rosyjski Swiatskij zamieścił w tych dniach na łamach petersburskiej „Krasnej Gazety" ciekawy artykuł o ostrych zimach, jakie miały miejsce w Europie północno-wschodniej w ciągu ostatnich 50 lat. Stwierdził on mianowicie, że za ostrą zimę uważać należy w Petersburgu taką zimę, podczas której przeciętna temperatura wynosi w ciągu 12 idących za sobą dni conajmniej 20 stopni Celsjusza. Takich zim było w Europie północno wschodniej w czasie od roku 1750 do roku 1890 ogółem 19. Największe mrozy zanotowano przytem w latach 1861, 1867, 1868, 1878 i 1883. W roku 1740 panowały w Rosji takie mrozy, że na rozkaz kapryśnej Anny Joanowny wybudowano na Newie pałac Lodowy, który przez dłuższy czas znakomicie się trzymał. Swe badania prowadzi Swiatskij na podstawie starych kronik, pochodzących z 12 do 18 stulecia. Najdokładniejsze dane zawarte są w kronikach z 15-go wieku. Swiatskij stwierdził między innemi, że w roku 1524 mrozy trwały do 25 maja, a śniegu w tym roku napadało tyle, że jeszcze na początku czerwca w niektórych okolicach pola pokryte były białym całunem. Bydło na pastwiska można było w roku 1524 wyprowadzić dopiero w pierwszych dniach miesiąca lipca. Również w lipcu rozpocząć dopiero mogli chłopi prace wiosenne w polu.

Wytrucie komisarzy bolszewickich. W miejscowości Dżar Kurgan, w Turkiestanie, niewykryci sprawcy otruli strychniną, domieszaną do herbaty, członków sowieckiej ekspedycji agrarnej, która przybyła do Dżar-Kurganu w celu przeprowadzenia „reformy" na modłę sowiecką. Z pośród otrutych dwu zmarło, sześciu walczy ze śmiercią.

Automobilem przez Saharę. Ks. Sykstus Burboński, który 27 stycznia wyruszył z Algieru z zamiarem przejechania samochodem przez Saharę, przybył 17 lutego do miejscowości Agades niedaleko Nigru. Książę postawił sobie za cel nawiązania regularnej komunikacji samochodowej przez Saharę. Wbrew obliczeniom, które opiewały na 60 dni, zużył ks. Sykstus tylko 20 dni na przebycie pustyni.

Pożar szkoły. Z Jacksonville w Ameryce Północnej donoszą o strasznym pożarze, który wybuchł w tamtejszem liceum żeńskiem. Pożar wybuchł na niższych piętrach gmachu szkolnego i objął momentalnie klatkę schodową. Około 200 uczenic, oraz personal nauczycielski z rodzicami zgromadzony był w tym czasie w jednej z sal na uroczystości szkolnej. Wynikła panika. Uczenice, przerażone pożarem, usiłowały ratować się, skacząc z okien. Jedynie dzięki bardzo energicznej i natychmiastowej akcji ratunkowej nie było większej ilości ofiar. Jedna uczenica zabiła się, skacząc z okna na ulicę. Poza tem cały szereg osób uległ lżejszym obrażeniom. Jak się okazało, powodem pożaru było krótkie spięcie przewodów elektrycznych w piwnicach gmachu.

Podstęp wychodźców. Wychodźcy, pragnący dostać się do Stanów Zjednoczonych z pominięciem przepisanych przez ustawę formalności, chwytają się najrozmaitszych środków. Wyjątkowo oryginalnie postąpili sobie dwaj Polacy Andrzej Blis i Henryk Garbaszyński, którzy zamiaru tego postanowili dokonać, przesuwając się przez długą żelazną rurę, służącą jako ochrona dla przewodów telefonicznych, a zawieszoną pod mostem, łączącym Kanadę ze Stanami Zjednoczonemi pod Niagara Fall. Straż nadgraniczna spostrzegła podstęp i wyciągnęła obydwu z rur. Obaj nie wiedzieli, że w korytarzu tym są przewody w postaci prętów żelaznych, które i tak byłyby uniemożliwiły pomyślne zakończenie ich wyprawy.

Przybytki śmierci. W Meksyku, w Ameryce środkowej, gdzie jak wiadomo, zachowały się do dziś dnia różne prastare budowle i inne pomniki starożytne, odkryto podziemne katakumby, mieszczące całe rzesze nieboszczyków z przed setek, a może tysięcy lat.



Gorące i suche powietrze tych podziemi sprawiało, że ciała nie gniły, lecz zeschły na patyk i w tym stanie dotrwały do dziś dnia. Nasz obrazek ukazuje właśnie jeden z tych meksykańskich przybytków śmierci. Wnętrze tej katakumby przedstawia nam niezwykły sposób chowania zmarłych u starożytnych Meksykanów.

Głód w Chinach. Dzienniki donoszą z Pekinu, że przewodniczący misji angielskiej w prowincji chińskiej Szen Si, nazwiskiem Griffith, potwierdził doniesienia amerykańskie o strasznej klęsce głodowej w tej prowincji. Na teryjorjum 100 mil kwadratowych z 10 miljonami mieszkańców, zmarło z głodu pół miljona ludzi, pół miljona zaś kraj opuściło, 2 miljony ludzi znajduje się bez żadnych środków żywności. Skazani są oni na śmierć głodową, o ile nie udzieli się im natychmiast pomocy. W miastach otrzymuje ludność zupę na koszt publiczny. Wszystkie zwierzęta zostały zabite. W całym kraju znikły psy, które zostały spożyte. Pewien lekarz, który zastrzelił swego psa, był proszony przez bogatych Chińczyków o sprzedanie zwłok zwierzęcia.

Walki religijne w Indjach. W Bombaju, wielkiem mieście portowem w Indjach, walki uliczne między Hindusami wyznawcami religji indyjskiej, a mahometanami po chwilowej przerwie znacznie się wzmogły. Rozruchy rozpoczynają się także i w innych miastach. Wielkie oddziały wojska i tanki musiały wkroczyć, żeby przywrócić porządek. Ogółem obliczają, że liczba zabitych w walkach ulicznych w Bombaju wynosi przeszło 100 osób.

RZECZY CIEKAWE.

Jak tępić wrony.

Podaje pewien „stary myśliwy“ bardzo prosty sposób chwytania wron (sprawa w tej chwili aktualna).

Skręca się z dość sztywnego, białego papieru lejki takiej wielkości, żeby wrona mogła całą głowę z dziobem w niej schować. Na dnie lejka umieszcza się kawałek świeżego mięsa, wątroby albo coś podobnego. Wewnętrzny brzeg trąbki smaruje się na szerokość 3—4 cm. lepem na ptaki. Tak spreparowane lejki wtyka się w odpowiedniej ilości w śnieg i cały obszar naokoło i pomiędzy nimi skrapia się świeżą krwią. Wrony, mające, jak wiadomo, bardzo bystry wzrok, na widok krwi zlatują się w nadziei jakiejś zdobyczy, znajdują przynętę w lejkach, sięgają po nią, tymczasem lejek przylepia się tak do głowy, że go zrzucić nie mogą, a mając zasłonięte oczy, nie mogą odlecieć i dają się łatwo schwytać. Może ktoś z czytelników zechce spróbować.

Jak się różnią termometry.

Wobec zainteresowania ogólnego ostatniemi mrozami i wobec podawania notowań w poszczególnych krajach to podług Celzjusza, to znowu Reaumura, lub Fahrenheita, nie od rzeczy może będzie dać czytelnikom zestawienie termometrów, opracowanych przez każdego z tych uczonych.

Zanim jednak przejdziemy do tabeli porównawczej termometrów Celzjusza, Reaumura i Fahrenheita, zaznaczamy, że pierwszy z nich był Szwedem (żył 1701—1744), drugi Francuzem (1683—1757), trzeci Gdańszczaninem żyjącym na przełomie XVII i XVIII wieku. U pierwszych dwóch linją 0 oznaczony jest punkt topnienia śniegu i lodu: w dół od tej linji termometr wskazuje mróz, którego stopnie oznacza się są kreską poziomą, w górę ciepło, oznaczone krzyżykiem. U Celzjusza punkt wrzenia wody oznacza linja + 100, u Reaumura linja + 80. U Fahrenheita ,którego termometr używany jest w Anglji i Ameryce Północnej, punkt topnienia znajduje się na linji + 32, wrzenia zaś wody na linji + 212.

Tabela porównawcza trzech omawianych termometrów przedstawia się następująco:

C.	R.	F.
+ 100	+ 80	+ 212
+ 90	+ 72	+ 194
+ 80	+ 64	+ 176
+ 70	+ 56	+ 158
+ 60	+ 48	+ 140
+ 50	+ 40	+ 122
+ 40	+ 32	+ 104
+ 30	+ 24	+ 86
+ 20	+ 16	+ 68
+ 10	+ 8	+ 50
+ 5	+ 4	+ 41
— 0	— 0	+ 32
— 5	— 4	+ 23
— 10	— 8	+ 14
— 15	— 12	+ 5
— 20	— 16	— 4
— 25	— 20	— 13

Niższe temperatury łatwo sobie według tej tabelki obliczyć.

Lęk zwierząt przed śmiercią.

Większe zwierzęta doskonale zdają sobie sprawę z tego, czem jest śmierć. Tak np. koń drży, stojąc obok ginącego innego konia i zdradza wielkie objawy przerażenia drży więc na całem ciele i jest wyjątkowo zdenerwowany. Pies wyje żałośnie i nie chce oddalić się z miejsca, gdzie ukazuje się śmierć mimo to jest bardzo niespokojny i przerażony, oczy ma smutne.

Chory pies chowa się, gdy ma zginąć. Lecz mnóstwo jest też zwierząt, które udają śmierć, by uniknąć swych prześladowców. Jest to doskonałym dowodem, iż zwierzęta te dobrze zdają sobie sprawę z tego, jak wyglądają istoty bez życia. Lisy, niedźwiedzie, wilki robią to bardzo często. Nawet koń potrafi w niebezpieczeństwie udawać trupa.

Słoń dziwne ma zwyczaje. Gdy się starzeje lub gdy jest ranny lub chory, udaje się do miejsca, znanego tylko innym słoniom w tym stanie, i tam czeka na śmierć. Takie cmentarzyska słoni są to miejsca dobrze ukryte, dokąd żadne zwierzę w dobrem zdrowiu nie zabłądzi.

Lamy również nie kończą byle gdzie; i one mają miejsca wybrane od pokoleń, które stały się olbrzymiemi kostnicami. Zazwyczaj te kostnice tajemnicze znajdują się nad brzegami rzek. Gdy zdycha jeden ze słoni, całe jego otoczenie wydaje głosy najwyższej rozpaczy; to samo robią i lamy.

Małpa w obliczu śmierci jest nieruchoma i odmawia wszelkiego pożywienia; siedząc przy umarłym towarzyszu, trzyma stale rękę na oczach, jakby płakała. Antylopa i gazela w tych samych okolicznościach pozostają zupełnie bez ruchu z przerażenia i wydają straszne jęki.

Tak więc śmiało można utrzymywać, że u wszystkich zwierząt dało się stwierdzić objawy straszliwego podenerwowania w obliczu śmierci. Dowodzi to, że wrażliwość na ten objaw u nich jest i że zwierzęta, tak samo, jak i ludzie instynktownie boją się śmierci.

Miasto rekordów.

Ameryka jest krajem rekordów. Wszystko jest największe, najlepsze, najpiękniejsze i t. d. Nie zdziwimy się więc następującym liczbom: Żeby wielomiljonową ludność Nowego Jorku zaopatrzyć w wodę, zbudowano rezerwoary, mieszczące w sobie 16 miljardów litrów. Dochód z tego wynosi 17 miljonów dolarów rocznie. Miasto posiada 47 mostów, przez które rocznie przejeżdża 110 miljonów pojazdów i przechodzi 70 miljonów ludzi. Słynny most Brockliński kosztował 26 miljonów dolarów. Różne podnad- i naziemne koleje miejskie przewożą rocznie 2 i pół miljarda ludzi. Opłata za przejazdy wynosi co roku 120 miljonów dolarów. Nowy Jork posiada 1000 teatrów i rozrywkowych lokali, w których jest miejsca dla pół miljona widzów. Gmach archiwum miejskiego kosztował 9 miljonów dolarów, ratusza 8 miljonów, giełdy 3 miljony, sądu apelacyjnego 750 tysięcy dolarów.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Władysław Sołtys** w N. S.: Nadesłane zagadki dobre, do druku należy jednak pisać po jednej stronie papieru. — **Stefan Jaworski** w P.: Krzyżykówek nie zamieszczamy, gdyż zabierają zbyt dużo czasu przy składaniu ich. Inne zagadki chętnie zamieścimy. — **Bogdan Grodzki:** Kwadrat magiczny dobry. — **„Dawid i Goljat“** w K.: Obydwa logogryfy zamieścimy. — **Jan Smaza** w Z.: Owszem — Nadesłane wierszyki są zupełnie dobre, więc będziemy starali się je zamieścić. Zagadki również dobre. — **Ludwik Stec** w G. M.: Rzeczywiście zaszła pomyłka, nie warto jej jednak prostować. — **Józef Mikołajski** w Cz.: List gdzieś błądził, otrzymaliśmy go już po wydrukowaniu numeru, dlatego też Pańskiego nazwiska nie było. Gdybyśmy chcieli na wszystkie listy odpowiadać w „Roli“, to trzebaby co tydzień zadrukować odpowiedziami dwie i więcej kartek. — **Jan Kłapa** w L.: Po ukończeniu powieści „Król dziadów“ zamieścimy powieść redaktora naszego z czasów najazdów tatarskich na Polskę. Mamy nadzieję, że

zainteresuje ona wszystkich naszych Czytelników. — **Jan Żmuda** w Chicago: Szkodliwą działalność wielu gazet amerykańskich znamy dobrze, bo i tu je otrzymujemy. Że gazety te wychodzą, winni temu sami nasi rodacy, którzy za jad i zgniliznę, jaką im niosą, płacą swym ciężko zapracowanym groszem. Znamy też działalność owego wójta, o którym Pan pisze. Powiadają, że mandat swój kupił u jednego z przewódców stronnictwa za 40 tysięcy złotych. Czy to prawda, nie wiemy. W każdym razie człowiek ten jest tylko pospolitym krzykaczem i szkoda, że miejsce w sejmie zajmuje. Wyborcy to widzą, klną na takich posłów, ale gdy przyjdą nowe wybory, idą za nimi, jak barany, bo ich różni krzykacze potrafią tak otumanić, że zdaje im się, że dobrze czynią. W tem tylko pociecha, że przecież kiedyś ludzie zmądrzeją i nie dadzą się na pasku wodzić. Za słowa uznania i pozdrowienia serdecznie dziękujemy i życzymy jak najlepszego powodzenia na obczyźnie. Żonie „Rolę" wysyłamy. — **„Ben Chorin":** Artykulik dobry, więc go zamieścimy. Nowela „Dzieci ulicy" więcej nadawałaby się do czasopisma wyłącznie przeznaczonego dla miast, aniżeli do „Roli". — **Józef Pachołek** w Ch.: Obrazek p. t. „Upokorzony" daliśmy już do druku i będzie w obecnym lub w jednym z najbliższych numerów. „Zabójca" też będzie. — **Walerja Trębaczowa** w K.: Maciuś za przesłaną panienkę na imieniny serdecznie dziękuje. Nie wie jednak, co ma z nią robić. Obraca ją na wszystkie strony, stawia i kładzie, ale ona w żaden sposób nie chce się poruszać. Mówi do niej — nie odpowiada! Ładna, bo ładna, ale, jak powiada, wolałby żywą, choćby nieco i brzydszą, jak taką śliczniutką na papierze. — **Józef Koc** w Ch.: Już na ten temat odpowiedzieliśmy jednemu z Czytelników w poprzednim numerze „Roli". Ma Pan słuszność, że wielu jeszcze jest w Polsce ludzi takich, którzy zasługują na potępienie i że trudno stare ich wady wykorzenić. Niema stronnictwa politycznego, któreby nie posiadało ludzi zacnych, ale są też w każdem szumowiny, które powinno się bezwzględnie tępić. — **Jan Węgiel:** Nadesłana nam krzyżówka jest bardzo dobra, ale trzebaby z niej robić kliszę, bo inaczej do druku złożyć się nie da. A klisze są drogie, więc pieniądze te wolimy poświęcić na inne obrazki. — **Jan** (nazwisko nieczytelne) **ze Szczurowy:** Maciuś grzebyk na imieniny otrzymał. Czesał się nim całą godzinę, ale powiada, że za rzadki, gdyż nic nie mógł wyczesać. — **Stefan Karwald** w I.: Podanie o św. Urbanie jest bardzo ciekawe, więc je też zamieścimy. Zdaje się jednak, że jest to tylko ładna legenda, gdyż w życiorysach papieży o imieniu Urban nigdzie nie wspomniano, aby którykolwiek z nich przebywał w Polsce. — **Władysław Czarny:** Pożyczek takich udziela tylko Bank gospodarstwa krajowego w Krakowie. O ile nam jednak wiadomo, obecnie trudno coś uzyskać z powodu braku funduszów.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Habas Wojciech z Warszawy dla Maćka 1.05 zł., Kazimiera Bulandówna z Haczowa dla Maćka na imieniny 1.40 zł., Jaga Kobylanka z Krynicy na imieniny dla Maćka 3 zł., Józef Rusnak dla Maćka na cybuszek 1 zł., Ks. Feliks Podgórniak z Moszczenicy na imieniny dla Maćka 1.50 zł., Fr. Czarniak i A. Borzęcki z Ludzimierza dla Maćka na imieniny 1.20 zł., Ks. Kazimierz Gąska z Radziechowa dla Maćka na imieniny 1.05 zł.

Unieważniam zgubioną książeczkę wojskową na nazwisko Czesław Mróz ur. w roku 1903 w Kopalinach pow. Bochnia, a zamieszkały w Burdyłowie powiat Brzeżany wydaną przez P. K. U. w Brzeżanach.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Franciszek Śmigielski z W.).

☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto polskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Spada podczas burzy.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Przedmiot szkolny.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wyspa warchipel malajskim
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Staroż. suknia rzymska.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Porucznik inaczej.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Instrument muzyczny.

Litery w czarnych kwadracikach czytane z góry na dół dadzą nam malownicze miasto polskie.

2. Szarady.

(Ułożył Leon Kmita z I.).

I.

Tam kolejowe czwarte piąte biegą,
Po drugie piąte poszliśmy z kolegą,
Błyszczała jego czarna czwarta trzecia
A miasto piąte trzecie pełne było kwiecia.
Całość potwory po rzekach żyjące,
Lecz nie u nas. W Afryce, gdzie sfery gorące.

II.

Drugie pół czwartego to zwierz bardzo srogi,
Każdego groźnie czwarte piąte, bogacz czy ubogi,
Pierwsze drugie trzecie pół czwarte, to imię w Polsce używane,
Każdemu czytelnikowi pewno dobrze znane.
Całość pseudonim zmarłego pisarza,
Który przeszłość dziejową świetnie nam odtwarza.

(Ułożył H. Biłka Głębicki z S.).

III.

Pierwsze trzecie z biblji nam znana,
Trzecia i pierwsza, będzie odmiana,
Na trzecie drugie długi swe spłać,
A całość warto przeczytać.

IV.

Gdy gorąco bywa w lecie,
To się napij drugie trzecie —
Lecz mówię: nie nadużywaj!
Od pierwszej czwartej wyrywaj!
Pierwsza trzecia napój przecie.
Całość ptaki w Ameryce.

3. Zagadki.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Wprost czworonożny zwierz znany,
Wstecz ciąg dalszy omawiany.
Wprost zająca, wilka goni,
Wstecz zaś ciągnie, nie trza koni.

III.

Trzy znaczenia w jednem słowie,
Przyrząd, ryba, miała w głowie.

IV.

Wprost we wodzie się rusza,
Wstecz poprostu zmusza.

V.

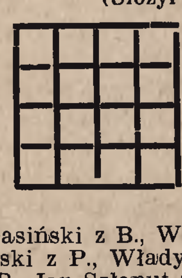
Czy to wprost czy wstecz czytany,
Zawsze wróg Polaków znany.

VI.

Wprost nazwa prababki inaczej,
A wstecz znowu „bywaj" znaczy.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).



Drzewo.
Pieśń.
Uderzenie.
Zarost.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 16 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 8 „Roli": 1. Logogryf: Franciszek Karpiński. 2. Szarady: I. Stowarzyszenie. II. Karawana. III. Kowalczyk. IV. Bassara. 3. Zagadki: Roma-amor, gór-róg, skok-koks. 4. Kwadrat magiczny: Koza, ogon, żołd, Andy.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Mieczysław Rymek z K., Jakób Jeziorański z K., Piotr Wenc z Ś., Ks. Maciej Suchodolski z T., „Jaga" z G., Józef Bury z I., Bogdan Grodzki, Józef Prorok z T., Franciszek Mrozek z K., Jan Gara z W., Stefan Jaworski z P., Tadeusz Sroka z L., Józef Gasiński z B., Władysław Sołtys z N. S., Franciszek Śmigielski z P., Władysław Sowiźrał z J., Ks. Antoni Niwiński z B., Jan Szłaput z W., Jan Burczyk z W., Adam Noga z N., Ks. Wawrzyniec Nalepa z P., Kazimierz Stypa z W., Jan Syc z L., Michał Gniazdek z O., Jan Smaza z Z., Józef Kopacz z S., Jan Lese z M. K., Edward Gorczyca z S., Adam Zieliński z M., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Zygfryd Setkowicz z T., Fr. Macioł z S. B. i Teofil Pospiszył z Z.

Nagrody wylosowali pp.: Józef Prorok z T. i Jan Burczyk z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nie bez powodu.

Sędzia do świadka: Przychodzi pan do sądu nie ogolony? Jest to w każdym razie brak uszanowania.

Świadek: Ale gdzie tam, panie sędzio; przyszedłem ogolony, ale przy tak długiem czekaniu na wywołanie broda mi odrosła.



Sezonową awantura.

Mąż (rozwścieczony): — Co takiego?... dwa lata temu kupiłem ci ten wspaniały lisi kołnierz, a ty mówisz, że jest za stary!!

Żona (przez łzy): Ale... ale nie zapominaj o tem, że ten lis w tym kołnierzu jeszcze przedtem trzy lata po lesie chodził.

Cierpi z powodu wiary...

— Wie pan, że nasza kochana kuzyneczka wiele bardzo znosić musi cierpień jedynie z powodu swojej wiary...

— Jak to?!...

— Całkiem naturalnie. — Wierzy bowiem ustawicznie, że na jej 40-centymetrową nogę — wejdzie bucik numer 36...



Nieporozumienia familijne.

Ojciec gwałtowny: — Widzisz! taka głupia Julka Drybska wyszła za mąż w tym karnawale, a ty nie!

Córka łagodna: — Tatku! Ale Julka Drybska ma mądrego ojca, co zrobił pieniądze.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 22 lutego b. r.

Pszenica	45·50—46·00	Słoma długa	11·00—13·00
Żyto	35·50—36·00	Ziemniaki stoł.	7·50— 8·00
Owies	35·00—36·00	Koniczyna nasienn. czer.	200·00—220·00
Jęczmień	31·00—32·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	49·50—50·00
Groch zwyk.	58·00—62·00	Mąka pszen.	71·00—72·00
Siano słodk.	25·00—26·00	Otręby pszen.	26·50—27·00
Łubin żóły	33·00—34·50	Otręby żytnie	26·00—26·50
Koniczpastew.	35·00—36·00	Mąka czerw.	31·00—32·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 22 lutego b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·15 do 1·75 zł.	Jałownik	od 1·03 do 1·65 zł.
Woły	od 1·15 do 1·75 zł.	Cielęta	od 1·25 do 2·14 zł.
Krowy	od 0·80 do 1·70 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·20 do 2·42 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·40 do 3.13